

# RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK  
ILUSTROWANY



ROK IX

WARSZAWA

MARZEC — 1935



# DOBRA I TANIA KSIĄŻKA

jest nie tylko przyjacielem,  
ale też strawą dla duszy naszej. W długie wie-  
czory zimowe dobra i zajmująca książka jest dla każdego ko-  
nieczna. Bez książki człowiek nie wie co z sobą i z czasem zrobić. Tymczasem  
na zawadzie stoi nieszczęsny brak gotówki, któryby umożliwił nabycie potrzebnych pism.  
Uwzględniając jaknajdalej obecne trudne czasy, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów rozsyła  
drukowane u siebie powieści i opowiadania po najniższych cenach, byle tylko  
otworzyć drzwi dla dobrej a przede wszystkim treściwej książki  
i uprzystępnić czytelnictwo najszerszym kołom  
w mieście i na wsi.

**Niedawno ukazał się najnowszy  
katalog** naszych wydawnictw z cenami  
**zniżonemi prawie do kosztów  
własnych**

Załadaj zaraz katalogu

Książki do nabycia  
**Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów**  
lub  
**Księgarnia Przeglądu Katolickiego**  
WARSZAWA, KRAK. PRZEDM. 71

## UWAGA

Jeżeli potrzebujesz jakakolwiek książkę z innych dzie-  
dzin, nie szukaj długo lecz napisz natychmiast do

## KSIĘGARNI PRZEGLĄDU KATOLICKIEGO WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71

Na życzenie księgarnia sprowadza i dostarcza książki  
z wszystkich wydawnictw krajowych i zagranicznych bez żad-  
nej dopłaty za zamówienia.

O ile tylko możliwe uprasza się o łaskawe podanie ty-  
tułu książki, autora, miejsca i roku wydania.

Cena ogłoszeń zatekstowych:  $\frac{1}{4}$  str. — zł 700,  $\frac{1}{2}$  — zł 380,  $\frac{3}{4}$  — zł 200,  $\frac{1}{8}$  — zł 120,  $\frac{1}{10}$  — zł 70,  $\frac{1}{32}$  — zł 40.

**PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ“ W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:  
ROZCZNI:**

Polska . . . . .	7 zł.		Czechosłowacja . . . . .	40 kor. cz.
Niemcy . . . . .	5 R. mk.		Ameryka . . . . .	2 dolary
Francja . . . . .	25 frank.		Inne kraje . . . . .	7 fr. szw

PÓŁROCZNA Prenumerata w Polsce — 3 50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 70 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI i ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240-15.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.



# RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK  
LUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA MARZEC 1935.



Fr.M.Sch.  
1894.



## NAJTRUDNIEJSZE ZAGADNIENIE

Kwestja żydowska w Polsce w latach bezpośrednio następujących po wojnie, wskutek szeregu przyczyn, należała do spraw, które mogły denerwować wielu, aie o których wogóle mówiono niechętnie.

Dopiero w ostatnich latach, w dobie kryzysu gospodarczego, kwestja ta stanęła przed społeczeństwem poskiem w całej swej grozie. A jednocześnie nie braknie kół, które po dawnemu podkreślają przyjaźń swą z żydostwem, nietylko bronią Żydów, ale i popierają ich politykę. „Ideowymi“ filosemitami są u nas masoni, i część socjalistów. Kuma się z nimi bezbożnictwo i sekciarstwo. Komuniści w Polsce, to niemal wyłącznie Żydzi.

Ale główne oparcie filosemityzmu znajduje się w Polsce w środowisku, które dawniej nie istniało wcale. Powstała bowiem liczna i zwarta grupa społeczna polsko-żydowska, złożona przedewszystkiem z Żydów, przyjmujących zewnętrzne cechy kultury polskiej, często nawet dla interesu religiję chrześcijańską, pozostającą jednakże w dalszym ciągu z ducha swego żydowską. Polska dla tej grupy nie przestaje być krajem rozproszenia, a w najlepszym wypadku jest „ojczyzną na zapas. Neo-Polacy żydowskiego pochodzenia, przybierający obecnie dźwięcznie brzmiące nazwiska polskie na „ski“ — wciskają się powoli, lecz systematycznie, do środowisk polsko-katolickich przez małżeństwa mieszane. Ta nowa kategoria obywateli naszej Rzeczypospolitej, pozornie polska, w rzeczywistości jest przewodnikiem idej żydowskich. Właśnie teraz dochodzi ona w sprzyjających warunkach politycznych do głosu.

Jesteśmy obecnie świadkami ciekawego, paradoksalnego zjawiska. Nietylko zbankrutował dawny ruch asymilatorów, pragnący zaasymilować Żydów i zmienić ich w Polaków „mojżeszowego wyznania“, ruch wychodzący z błędnych pojęć o istocie żydostwa, ale Żydzi, zarzucając starozakonne chałaty i mycki, i zdobywając wykształcenie „europejskie“, zaczynają przerabiać naszą własną kulturę, odzierając ją z najistotniejszych cech charakterystycznych i przystosowywać do swych przekonań, upodobań, gustów i, co najważniejsze, do potrzeb żydostwa światowego.

Dziś kwestja żydowska u nas nie jest już tak jak niegdyś kwestją wyłącznie ekonomiczną, lecz sprawą utrzymania czystości naszej kultury, opartej o katolicyzm.

Mamy u siebie około 3½ milionów Żydów, osiadłych w naszych miastach i miasteczkach. Około 600 tysięcy z tej masy napłynęło do Polski ze Wschodu,

Jest rzeczą powszechnie znaną, że conajmniej 80 proc. naszego handlu znajduje się w rękach żydowskich. Wielki zaś handel Polski z zagranicą, to ich wyłączna domena. Przemysł również opiera się na kapitale żydowskim, krajowym, bądź zagranicznym, lecz również żydowskim. Rzemiosło coraz bardziej opanowywane jest przez „naród wybrany“. W 1932 r. już 56 proc. rzemiosł stolicy należało do Żydów. W wielu miejscowościach istnieje — żydowski „monopol“ rzemieślniczy. W miastach kamienne przechodzą systematycznie i planowo z rąk polskich do żydowskich.

Coraz bardziej Żydzi opanowują zawody wolne. Jeszcze niedawno Żydzi adwokaci stanowili w Warszawie mniejszość znikomą — w 1934 r. było już ich 51 proc., a w warszawskim okręgu sądowym aż 73,3 proc. Krakowska palestra liczy 78 proc. Żydów.

To samo obserwujemy w zawodzie lekarskim, dentyście, w dziennikarstwie.

Żydzi — mieszkańcy miast — mają łatwiejszy dostęp do szkół średnich i wyższych, niż ludność polska, mieszkańcy przeważnie wsi. — Nasze więc wyższe szkoły wychowują coraz liczniejsze zastępy inteligencji żydowskiej, w stosunku przewyższającym kilkakrotnie stosunek procentowy Żydów do ludności chrześcijańskiej.

Obecnie wytworzył się stan rzeczy nie do zniesienia. Wieś polska jest przeludniona, nadmiar jednak tej ludności nie może odpływać do miast, w których handel, przemysł i zawody wolne okupowane są przez „krajowych cudzoziemców“, mających własne interesy narodowe, polityczne i religijne. Ponieważ emigracja nasza za ocean jest zahamowana — zaczynamy dusić się po prostu.

Wśród narzekań i skarg na Polskę zagranicą, Żydzi przy pomocy swej inteligencji energicznie pracują nad dechrystjanizacją i judaizacją naszej Ojczyzny.

Żydowscy wydawcy i krytycy, pozostający pod ich rozkazami (vide „Wiadomości Literackie“) decydują o kierunku współczesnej literatury polskiej. Kina, pozostające np. w Warszawie wyłącznie w ręku Żydów — szerzą jawnie demoralizację. Teatry, licząc się z gustami Żydów, przestają już być wyrazem polskości.

Część prasy jest doszczętnie opanowana przez dziennikarzy żydowskich. Istnieją pisma popularne, brukawce, które celowo szerzą rozkład społeczny.

Bezbożnictwo i masonerja w Polsce pozostają pod czujną opieką Izraela. Rzecz ciekawa, że Żydzi, posiadając własne rozgałęzione loże wolnomularskie, jednocześnie wchodzą do łóż polskich i w ten sposób sprawują nad niemi kontrolę.

W bardzo znacznym stopniu walka pogańskiego ducha z duchem chrześcijańskim w Polsce jest walką żydostwa z polskością.

Jakież wobec tych zjawisk winno być nasze stanowisko?

Nie możemy przyjąć zasad rasizmu niemieckiego, gdyż nie są one zgodne ani z nauką Kościoła katolickiego, ani ze zdobyczami wiedzy ludzkiej.

W dzisiejszych wszakże warunkach — jedynie rozwiązująca sprawę — emigracja żydowska — nie usunie nadmiaru Żydów z Polski, ale, mimo wszystko, emigracja ta winna być popierana, a natomiast utrudniony napływ nowych rzesz żydowskich ze Wschodu i Zachodu.

Brońmy się, ale nie środkami gwałtu, lecz w drodze odpowiedniego ustawodawstwa i inicjatywy społecznej w zakresie rozwoju handlu polskiego i rzemiosł.

Nadewszystko zaś bronić się musimy przed zalewem Żydów w dziedzinie naszego życia kulturalnego.

Musimy także zwrócić uwagę na apostołstwo chrześcijańskie wśród Żydów. Niewątpliwie cała psychika żydowska jest historycznie urobiona wrogo wobec nauki Chrystusa. Ale mimo to praca w tym kierunku jest naszym obowiązkiem. Szczepienie zaś chrystjanizmu wśród Żydów nie powinno być uważane za akcję polonizacyjną. Żydzi-chrześcijanie niech pozostaną Żydami. Nie mamy żadnego moralnego obowiązku mieszaną się z Żydami, którzy są odrębnym narodem o bardzo odmiennej od naszej psychice. Zresztą musimy wogóle zwalczać pseudo-nawrócenia żydowskie dla interesu i wciskania się w nasze środowisko.

Walczyć z żydostwem jesteśmy zniewoleni — ale walka ta musi być prowadzona bez pogwałcenia zasady chrześcijańskiej — miłości bliźniego.



# STANOWISKO PRUSA W LITERATURZE

(Z RACJI ZBIOROWEGO WYDANIA DZIEŁ PRUSA)

Czasy, które wydały Bolesława Prusa, były epoką wielkiego obrachunku sumienia narodu, żyjącego kilkadziesiąt lat poprzednich w sferze idealistycznego napięcia energii w kierunku jedynej i najwyższego celu — walki o wolność. Ale to zapatrzenie się w przyszłość, w zdobycie raju utraconego, dla którego poświęcało się świat cały, przynosząc zawód za zawodem, skończyło się wreszcie klęską roku 63-go. Społeczeństwo upomniało się wówczas o teraźniejszość życia, o rzeczywistość otaczającą i uzależniło hasło: będziemy wolni, silni i wielcy, od odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy?

O odpowiedź nie było łatwo. Jeśli marzenie o przyszłości rozwijać mogło zupełnie nieskrępowanie wizje królestwa ducha, to skromniejsze w swym zakresie oświecenie rzeczywistości wymagało prawdy realnej, wymagało surowej i ścisłej oceny, wymagało obliczeń, porównań, zestawień i konkretnego bilansu. Musiał to być rachunek sumienia oparty o poznanie.

Z b a d a n a rzeczywistość zmieniła głęboko poglądy na naród: zniknęła postać Polski, prowadzącej ludzkość całą do ziemi obiecanej — a społeczeństwo ujrzało siebie na szarym końcu żmudnego pochodzenia narodów, zobaczyło swoją własną biedę, zacońfanie i rozbitcie. Myśl, wyostrzona na badanie realnych warunków bytu, potykała się wszędzie na zastoju, zaniedbaniach i brakach, dostrzegała fatalne skutki przestarzałego szlacheckiego poglądu na świat, widziała jak życie wymykało nam się z dnia na dzień z rąk, jak inicjatywa społeczna, jak twórczość naukowa, techniczna, przemysłowa, zdrowotna, artystyczna wreszcie raz wraz zakwitły już nietylko na Zachodzie, ale i na Wschodzie — a my, bierni, zapatrzeni ciągle w przeszłość wyidealizowaną lub nierealną przyszłość, cofamy się i jesteśmy usuwani z szeregu zdobywców duchowych ludzkości.

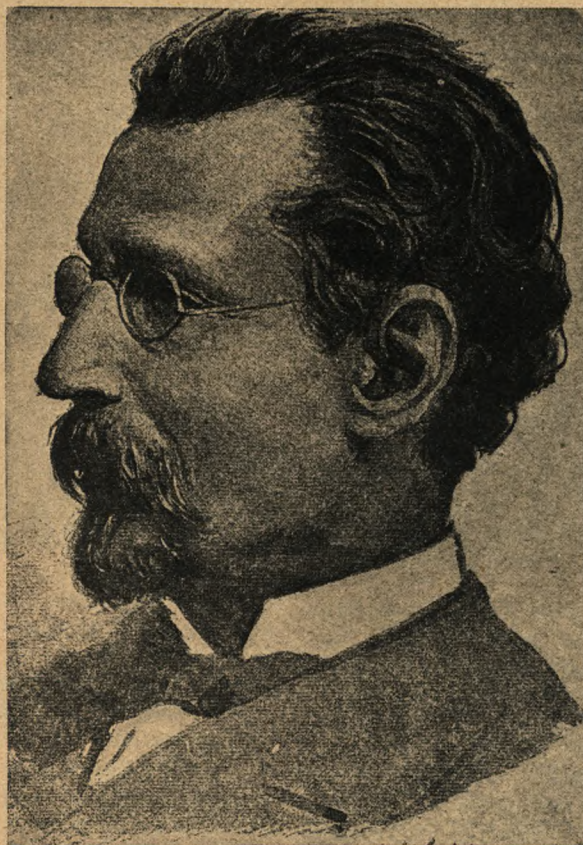
Ogół ówczesnego społeczeństwa nie odrazu chciał i mógł otworzyć oczy na rzeczywistość, na to runięcie wdół, które wskazywały kierownicze umysły. Wobec tego oporu, jedni, dla których wszelkie ociąganie było zjawiskiem zła, rozpoczęli bezwzględna walkę z obskurantyzmem, wystąpili jako szermierze, namiętni i bezwzględni w zapasach i, rąbiąc bez pardonu na prawo i lewo, zapalając się, nienawidząc nawet i sztydząc — torowali drogę nowemu poznaniu.

Inni, wręcz odwrotnie, lękając się, aby podważenie wiary w nieprzeciętną wartość dotychczasowych wysił-

ków narodu, nie zniszczyło podstaw życia zbiorowego, nie zakończyło się katastrofą zwątpienia i uległości, podnieśli sztandar krzepienia serc, wskazując, że niema takiego upadku, z którego by ciężna ogółu i siła moralna społeczeństwa nie dźwignęły narodu.

Pierwsi budzili, drudzy krzepili, uwzględniając w swoim rozumieniu jaknajlepiej ówczesne warunki życia społeczeństwa. Jedni w tym obrachunku sumienia epoki szli w krytyce, oskarżaniu i biciu się w piersi dalej jeszcze niż kazala rzeczywistość, inni nie dochodzili do krańców, widząc jeszcze potrzebę złudy jako siły twórczej, danej przez ukojenie. Ale znalazł się człowiek, który nie chciał objąć roli ani wśród namiętnie walczących szermierzy, ani wśród budowniczych ołtarzy ukojeń, człowiek, obdarzony przede wszystkim sumieniem, żądaniem prawdy. Był nim Bolesław Prus.

Najgłębszym jego celem, celem żywiołowym niemal stało się wszechstronne poznanie rzeczywistości polskiej, której nie myślał oceniać jedynie z punktu widzenia chwili, przez pryzmat złudy czy pasji. Bolesław Prus, mimo swej niesłuchanie bliskiej łączności z nastrojami współczesnej mu epoki, mimo nieustannej, bezpośredniej reakcji na bieżące potrzeby dnia codziennego, dążył przez całe życie do tego, by nie utonąć w fali „zjawisk, co powierzchu pływa“, lecz by opłonić ją i ujrzeć w niej wyraz znamion ogólnych życia narodu, jego sił i wartości twórczych. Badał więc naród we wszystkich jego przejawach, małych i wielkich, codziennych i odświętnych, dawnych i obecnych; miał pełną



Bolesław Prus.

odwagę uświadamiania sobie i innym zła i nie cofnął się przed niem, choćby było jaknajbardziej piekące, lecz jednocześnie z pełną odpowiedzialnością stwierdzał rzetelne wartości dodatnie. W badaniu był fanatykiem ścisłości i bezstronności; do obserwacji życia chciał stosować metody niemal naukowe, ażeby tylko zdobyć zupełną prawdę. I rzeczywiście Prus osiągnął więcej niż inni — nikt we współczesnej mu epoce nie miał tak jak on wszechstronnego poznania życia polskiego, i nikt w twórczości nie dał pełniejszego obrazu społeczeństwa.

Ale prawda Prusa to nie wyłącznie prawda ścisłości i obiektywizmu naukowego. Jest ona jeszcze prawdą żywą człowieka, który każdemu zjawisku poznawanemu miał nadać dynamiczną moc przeżycia. Prus sferę intelektu zawsze opierał o całość psychiki, prześwietlając swe teorie temperamentem indywidual-



nym, nadając im pulsowanie uczucia, olśniewając potężnymi zarysami intuicji. Te władze energetyczne, które w duszy Prusa nagromadzone były z niezmierną siłą, stanowią potężny, pogłębiający akompanjament jego rachunku sumienia narodowego. One to wiodły autora „Lalki“ w wir najtragiczniejszych konfliktów z sobą i życiem, one pchały do bolesnego obnażenia ostrych i surowych prawd rozumu, one nie dały Prusowi odejść, by mógł on szukać wyzwolenia poza sferą narodową, one też, oparte na niezmiernie polskich cechach charakteru, kazały mu wołać o ratunek, by znaleźć drogę „od upadku do odrodzenia“.

Prawda Prusa — dalej jeszcze idąc — choć wszystkimi korzeniami tkwi w narodzie, nie zamyka się tylko jego zakresem. W syntetycznym bowiem charakterze umysłowości Prusa leżała konieczność nadawania każdemu zagadnieniu szczegółowemu ogólniejszego podłoża. Prawda o społeczeństwie i narodzie polskim złączyć się musiała z prawdą o człowieku i z prawdą o życiu. W tem też tkwi istotna wielkość i głęboka etyka natury Prusa: nigdy nie poświęcił on, nawet dla celów artystycznych, jak czynili inni, jednej z tych prawd dla drugich. Na życie narodu patrzył jak na pozycję w walce o zdobywanie nowych dziedzin uszczęśliwiania, doskonalenia i pożytku dla ludzkości; ludzkość zaś rzutował na płaszczyznę wszechświata, w którym szukał Boga. Przytem w swej wiedzy o człowieku i o życiu Prus jest tak samo rzetelny i tak samo badawczy jak w obrębie zagadnień narodowych; i tu czujemy pracę i wysiłki całej psychiki i tu też materiał odkrywczy i przemyślany uderzy nas często swą nowością, rozległymi, śmiałymi horyzontami, odwagą i powagą, oraz sugestją narzucających się perspektyw.

Sugestia ta przytem nie leży w apodyktycznym nakazie zewnętrznym, którego Prus nie stosuje nigdy do czytelnika: samorzutnie przypływa ona ze świata, stworzonego przez powieściopisarza. Świat ten nas sam pociąga i zniewala. Prawda bowiem Prusa nie jest prawdą inkwizytora — lecz prawdą głębokiego humorysty.

Humorysta ten przedziwnie umie się ustosunkować do rzeczywistości otaczającej; umie ją wchłaniać w siebie i odpływać od niej w dal, umie widzieć ją tak zbliska, że urasta do nieskończonej wielkości, i tak zdaleka, że staje się punktem w nieskończoności bytu. Wibruje też przed nami, zmieniając swoje oblicze, barwy, tony, rzucając coraz to inne blaski, wywołując coraz to nowe podniety. Rzeczywistość, zawsze sumiennie uchwyconą, oglądamy raz oczyma ścisłego matematyka, statystycznie obliczającego fakty, to znów fantastycznego wizjonera, budującego możliwości; epik, równoważący i układający zjawiska, zastąpiony zostanie wyolbrzymiającym i eliminującym lirykiem, realista, którego triumfem jest konkretność pola widzenia życia, przedzierzgnię się w marzyciela, zadumanego nad wartością nieuchwytnych mistycznych wzruszeń; z odmetu pesymizmu wypłyne wiara, ponure koszmary życia złączą się z wybuchową wesołością, świat niemożliwości i niepewności, stanie się możliwy, pewny i jasny. „Kto wie —

zaznacza sam Prus — czy patrząc na świat z tego stanowiska, nie jest się najbliższym prawdy?“

Humorystyczne ujmowanie świata stanowi też triumf Prusa jako pisarza. Prus do sztuki przyszedł od życia. Jakkolwiek bowiem talent jego dosyć szybko zaczął domagać się uzewnętrznienia, przecież twórczość artystyczna nie od razu stała się główną jego potrzebą; zbliżał się do niej krok za krokiem w miarę jak rosła jego indywidualność i w miarę jak inne dziedziny życia zamykały się przed nim bezpowrotnie. Zawiodła go nauka — której nie mógł się oddać, zawiodło go społeczeństwo — które nie chciało pójść za nim; wówczas przed Prusem stanęła sztuka i ona pozwoliła mu wypowiedzieć prawdę jego o życiu; narodziła się więc jako konieczność wewnętrzna, jako jedyna niemal sfera ekspansji życiowej. Stąd jej siła i jej różnorodność i jej bogactwo. W sztuce Prus zawarł najgłębsze swe poglądy społeczne, narodowe i filozoficzne, zawarł całą swoją psychikę, historję swych katastrof wewnętrznych i zdobyczy, swój oręż ideowej walki, swój czyn życiowy. A jakkolwiek zrazu sztuka była tylko środkiem wypowiedzania się i wyrazem temperamentu artystycznego Prusa — osiągnęła w swych najwyższych przejawach byt samoistny, stając się jednym ze „skrzydeł“, które „ludzkość wznoszą coraz wyżej“, stając się w swej treści wewnętrznej prawdą, wskazującą nowe tory poznania i czynu.

Twórczość Prusa nie była przez ogół współczesnych mu dostatecznie oceniona. Czytano jego utwory, zachwycano się nawet niemi, lecz często nie dostrzegano ich najwyższych wartości myślowych i artystycznych: wymykały się one jako zbyt dalekie od aktualnych potrzeb społeczeństwa.

Niewątpliwie, ten „dom niewoli“, jakim było Królestwo Polskie po r. 1863, wymagał ujmowania życia przez pryzmat chwili, wymagał zdecydowanych jaskrawych sztandarów walki lub artystycznej uludy. Stąd też wybitna i usprawiedliwiona sława tych, którzy dawali bezpośrednio oddźwięki na wymagania ogółu. I w twórczości Prusa znajdujemy je — lecz nie stanowiły one jego ambicji istotnej. „Im kto lepiej popularyzuje — pisał on sam — tem jest popularniejszym; lecz dopiero im kto więcej robi samodzielnych spostrzeżeń, im one są donioślejsze i głębiej sięgają w duchowość ogółu, tem jest większym“. Najgłębsze wartości Prusa występują dziś dopiero w całej pełni.

Dziś „dom niewoli“ jest wprawdzie upiornym wspomnieniem — lecz doba obecna nie jest znów tak zupełnie różna od epoki po roku 63. Jak pokolenie ówczesne czuło, że w jego oczach runął i rozsypał się w gruzy świat dawny — tak samo dla nas „skonął wiek stary“ i każdy dzień większą przepaść czyni z okresem przedwojennym; jak dawniej tak i teraz odpowiedzi na nurtujące pytania szukamy w rzeczywistości i od niej nic nas odciągnąć nie zdoła, jak dawniej tak i dziś czynimy nieustanny rachunek sumienia narodowego...

W pracy tej twórczość Prusa i prawda przez niego zdobyta stają się bliskim i nieodzownym towarzyszem.

Zygmunt Szwejkowski.







„Świątokradztwo”.

(A. Grottger).

## ARTUR GROTTGER

Poryw powstania 63 roku. Ten wielki wstrząs duszy i życia narodowego. Szczytne uniesienie religijne poprzedzające go i towarzyszące mu, — a przy tem rozpaczliwie bohaterska walka, która mimo zupełnego braku realizmu politycznego, a może właśnie tem bardziej, miała pewne rysy tytanicznego zmagania się, gdzie mierzono siły na zamiary, na płomienne w bólu, aż prawie szaleńcze umiłowanie ideału wyzwolenia Ojczyzny z długoletniej niewoli i wiekowego poniżenia. — Wreszcie tragiczny koniec tych bojów; — wszystko to uderzyło w dusze dwu młodych artystów zaledwie kończących swoje studia malarskie.

Uderzyło w te szczytne dusze młodzieńcze i talenty plastyczne wysokiej miary, ażeby wykrzesać z nich twórczość genialną.

Artur Grottger i Jan Matejko, prawie rówieśnicy, jako plastycy w twórczości swej są dziełem tego wstrząsu narodowego tych zmagania się, tej nadziei, tego bólu i tej wiary.

Młodszy o rok Jan Matejko pod wpływem tragedji narodu stał się wizjonerem realistą i jednym z największych genjuszów plastyki, stał się największym historycznym malarzem świata. Jego dłuższe życie pozwoli-

ło mu rozwinąć pełny cykl twórczości, sięgający poza ramy malarstwa w dziedzinę myśliciela-historka, — pozwoliły mu wychować, wykształcić całe zastępy następców kilka pokoleń malarskich i przemożnie wpłynąć na duszę i myśl narodu.

Starszy Artur Grottger w swem krótkim życiu i jeszcze krótszej twórczości, przemknął jak „Kometą” z jego „Wojny”. Samotny jak ona, pozostawił tajemniczy blask i tchnienie zaświatów. — Był to wizjoner idealista, o zadziwiającej jasności w konstrukcji swych dzieł, konstrukcji prawie architektoniczno-rzeźbiarskiej. Mimo małych rozmiarów swych kartonów rysunkowych jest on monumentalista, a więc syntetykiem niemal bezprzykładnym, jest myślicielem-filozofem o nastroju muzycznym, i jest... tragikiem.

Obu tych twórców genialnych w ich bólu chwilowej rozpacz, — podtrzymuje i umacnia żarliwa wiara religijna, — która nie daje im stoczyć się w otchłań pesymizmu beznadziejnego.

U dramaturga Matejki wiara ta, z biegiem lat i dzieł stworzonych, budzi głębokie przeświadczenie o nieustannej opiece Bożej nad Narodem Polskim, o jego powołaniu dziejowem i wydobywa triumfalną wizję cudu,



mocą którego naród ma odzyskać swą niepodległość do dalszej pracy na chwałę Boga. Matejko posiada rys wieszczczy i proroczy podobnie jak Skarga. Wiara jego religijna jest bardziej realną.

Tragik Artur Grottger jest w wierze swej mistykiem. Miotany bólem, ruiną bohaterskiej walki nieszczęśliwej Ojczyzny, nędzą całej ludzkości „rodu Kaina“ z „doliny łez“ pragnie się porwać bezpośrednio pod stopy tronu Bożego, gdzie królujecie jedyna, prawda, dobro i sprawiedliwość, — jedyna miłość wszechogarniająca. Cykle jego rysunków, wznosząc się ponad realizm życia, monumentalne w prostocie swej siły, w swoich płaszczyznach, szerokich liniach śmiałych i prostych. W przepięknie wyrazistych gestach swych postaci w twarzach bohaterów ponadindywidualnych, stanowiących jakby wcielenie typów i idei o oczach głęboko osadzonych potęgą skupienia przeszywających i porywających, — mówią o tem dobitniej niż wszystkie słowa i wyjaśnienia.

Za krótko żył ten wielki duch samotny (1837—1867) ażeby dojść do takiej pełni i do takich wyników w wierze jak Matejko. Jest on jakby ułamkiem kolumny niebostrzelnej... W ułamku, we wspaniałym fragmencie swych cyklów tem tragiczniejszy. A jednak... a jednak znamieniem wiary niezłomnejznaczony, która tak przedziwnie rysuje się w jego „Pielgrzymie“ (r. 1866). Kolumna, choć utracona, u szczytu swego jest naznaczona znamieniem krzyża, — znamieniem Męki Odkupicielskiej Boga i Zbawcy.

Artur Grottger to niezwykle zjawisko w dziejach sztuki. Cały jego rozwój artystyczny świadczy o pote-



Mater Dolorosa. (A. Grottger).

dze kształtującego ducha, który góruje nad popędami czysto malarskimi, — i przeczy osławionej jednostronności teorii: „sztuka dla sztuki“.

Grottger, syn malarza, od dzieciństwa okazywał niepospolity talent plastyczny o wiele większy niż Matejko. To też w pachołecym jeszcze wieku rzuca szkice, maluje akwarele tak doskonałe z taką finezją i lekkością traktowanie, o jaki napróżnoby się starali nietylko jego rówieśnicy, — ale nawet znacznie starsi uczniowie akademii, a nawet „skończeni“ artyści. („Wyjazd na polowanie“ r. 1849).

Ulega wpływom o lat dziewięć starszego J. Kossaka i jest... rzecz ciekawa, w upodobaniach swoich realista.

O ile jednak rozwój jego okazuje się nader wczesnym, — o tyle rychło staje się nader powolnym. Młody artysta, prawie samouk, szybko osiąga pewien stopień doskonałości, z którym przybywa już na studia do Krakowa i do Wiednia. — W Krakowie w okresie akademickim stanowczo przewyższa pod względem czysto malarskim, mozolnie i powolnie rozwijającego się Matejkę.

I oto w akademii wiedeńskiej pod Rubenem rozwój jego zahamowuje się. Zdobywa pod względem technicznym bezsprzecznie nie mało, — ale pod względem swobody i śmiałości twórczej traci. Przedewszystkiem jest w nim pewne łamanie się z samym sobą. Szuka dróg.

Ma upodobania realistyczne, — osiągnął w tym zakresie wiele, a jednak... Czujemy z prac jego, że to nie ta droga, którą powinien pójść. Od czasu do czasu wydobywa się jakaś nuta mistycznie idealistyczna, — jakiś tajemniczy poryw.

I oto wreszcie wieści z kraju, z Warszawy, — wstrząsają nim do głębi duszy. Tam procesje modlitewne, tam pochody religijno-patriotyczne. Tam strzały wrogie, — jęki rannych, — pogrzeby zabitych. Świątynie pańskie zbezczeszczone i zamknięte.

Grottger porywa się, tworzy gorączkowo. — Odrzuca cały swój realizm (którego zresztą doświadczenia będą mu przydatne); — staje się idealistą — monumentalistą. Rysuje pierwszy swój cykl: „Warszawa“ (r. 1861) — „Pamięci poległych i rannych na ulicach Warszawy współbraci, a ku wiecznej morderców hańbie 27 lutego 8 kwietnia 1861 r.“ — Tak głosi napis na karcie tytułowej cyklu.

Dzieło przedziwnie doskonałe, skończone, w prostocie swej i sile porywające. Zaczyna się „Podniesieniem“ — kapłan Przenajświętszą Hostją w Monstrancji błogosławi lud. Trzy postacie, — trzy sylwety. Kapłan i dwa pachołeta. Dwie twarze: korząca się i skupiona, (kapłan) i zachwycona pełna wiary ufnej (ministrant), — a nad nimi Bóg wcielony Zbawca. — Trudno o prostszą, a zarazem potężniejszą kompozycję. — Trudno o piękniejsze wyrazistsze twarze.

Dalsze obrazy „Lud w kościele“ — „Chłop polski i szlachta“ i t. d. — aż do „Zamknięcia kościołów“ — Każdy obraz potężny, choć rzecz naturalna, — napięcie duchowe faluje i nie jest jednolite, — ale w „Pierwszej ofierze“ i w „Zamknięciu kościołów“ w ruchu w geście w wyrazie jest poprostu mocarne.

Cykl ten jeszcze nie jest tragicznym, jest on potężnie wzniosły.

Tragicznymi stają się dalsze cykle: „Polonia“, — „Lituanja“ — „Wojna“. — „Polonia“ — staje się tak bolesną, że aż niesamowitą w swoim cierpieniu, jak w obrazie „Na pobojuwisku“; — ale i tu środkowa po-



GUSTAW MORCINEK

## SPOTKANIE

Ondraszek wrócił do domu obdarty, chudy i głodny.

Ojciec uniósł się gniewem. Lecz kiedy Ondraszek uchwycił jego podniesioną pięść i odrzucił ją mocno, a potem warknął: — Nie waż się uderzyć!... — i wyszedł, trzasnąwszy za sobą drzwiami, gniew jego przemienił się w żal.

— Toś ty taki!... — myślał z goryczą. — Toś ty taki?

Przyszła matka i jęła przekładać:

— Skrzywdzili go źli ludzie... Wiedzieli przecież, że to syn wolnego chłopca... że to nasz synek najmilszy... A naigrawać chcieli się z niego, rynek zamiatać kazali!... Pomyśl stary! Nasz Ondraszek miał rynek zamiatać!... Mój święty Boże!...

Nie zdołała jednak przekonać Szebesty. Długo słu chał, patrząc w swoje myśli. A im goręcej stawała w obronie syna, im goręcej usiłowała jego winę pomniejszyć i wytłumaczyć, Szebesta tembardziej zapiekał się w uporze. Tamten żal bowiem zniknął, a nowy gniew pęczniał w jego sercu. Ulgę mu to nawet przynosiło. Żal upokarzał go, gniew napełniał poczuciem siły.

— Jo mu pokażę!... — rzekł wkońcu, gniotąc w dłoni cynowy kubek. Gamratek mu się zachciało! ..

Za parobka będzie u mnie, wołami będzie jeździł, gnój będzie w polu kidał, drzewo rąbał!... A jeżeli ni, to... i trzasnął pogiętym kubkiem o podłogę.

Pod wieczór Ondraszek przyszedł do izby.

— Ty!... — rzekł twardo ojciec. — Jutro zaprzęgniesz woły do wozu i pojedziesz do lasu... Z Plintą pojedziesz!... Po drzewo!...

— Nie pojedę!

— Co?... Ty nie pojedziesz?

— Nie pojedę!...

Szebesta zerwał się z poza stołu, postąpił do Ondraszka. Oto ujmie go w twarde łapy, rzuci na ławę i złożonym we dwoje powozem zasmaga. Bić będzie tak długo, dopóki starczy sił. A potem sponiewieranego ciśnie do kąta. Niech pozna ojcową wolę!...

— Więc nie pojedziesz? — wykrztusił, bo dusił go rosnący gniew. Sięgnął szybko na ścianę, zerwał przygotowany powróż, ujął krzepko. Teraz smagnie w tamtą hardą, wyzywającą twarz!... Zamierzył się...

Zanim jednak uderzył, Ondraszek odskoczył, porwał nóż ze stołu.

— Spróbuj!... Spróbuj!... — syknął. W oczach błysnęły ognie, twarz skrzywiła się, zęby zacisnęły.

stać matki bolesnej ofiarowującej zwłoki syna Bogu, jest głęboko chrześcijańską i podnoszącą.

Najdoskonalszym cyklem w całości swej jakby szczytem monumentalnej twórczości Grottgera jest „Lituanja“. — Zaczynając od „Puszczy“ — poprzez „Znak“ i „Przysięgę“ do „Boju“, — obrazy rozwijają się tak jednolicie i tak wzmagają się w swem napięciu, — że dwa krańcowe „Duch“ i „Widzenie“ stają się tylko cichym finałem.

Moc prostoty kompozycyjnej, siła przemawiająca w wyrazach gestach śmiałości linii i szerokości płaszczyzn suggestywność światłocienia i poprostu muzyczny nastrój nie opuszczają już Grottgera, — ani się załamują.

Ze wspaniałego cyklu „Wojny“, — którego każdy obraz podobnie jak w „Lituanji“ jest naznaczony przedziwnym akcentem siły bolesnej, — szczególnie chciałbym zwrócić uwagę na „Świątokradztwo“, — a to dla tego, że tu środkami rysunkowo nader prostymi duch Grottgera osiągnął w bolesnem napięciu ponadplastyczną moc.

Umęczone ciało Boga Odkupiciela, na krzyżu rozpięte, obwieszane narzędziami zbrodni bratobójczych, — u stóp zaś Jego skrwawionych ślady rozpusty ludzkiej i poniewierki ducha. Artysta i muza, jego przewodniczka, odchodzą z tak bolesnym gestem bezbrzeżnego cierpienia, że serce zdaje się zamierać....

Z takim gestem i z tak przykrytem czołem i oczyma na obcej ziemi, — zdala od Ojczyzny umierał młody trzydziestoletni Artur Grottger. (Świadczy o tem rysunek jego przyjaciela).

A jednak ten bolesno-tragiczny genjusz posiadał moc wiary w siebie.

Oto „Pielgrzym“, starzec w pustyni przed ruinami klasycznej świątyni, — mocnym gestem wskazuje pachołociu polskiemu, — że zbawienie w Ziemi Świętej.

L. Czerniewski.

Bajki.

(A. Grottger).





— Ty... zbroju... — wybełkotał, rażony przerażeniem. — To ty nożem... na ojca?... — i porwany nagłą furją, runął na syna. Ujęli się za bary, zwalili na podłogę i teraz je!i się tarzać po niej, mocować, stękając z wysiłku. Wytracony nóż potoczył się z brzękiem. Ondraszek, przygnieciony ciężarem ojca, związał się pod nim, kopał, gryzł, ojciec zaś zdołał ująć go za włosy, przytrzymać głowę u podłogi, a drugą pięścią bił po twarzy. Ondraszek szukał ojcowego gardła. Ułapił je wkońcu, zacisnął oburącz. Szebesta zacharczał... Tchu brakuje w piersi, w oczach ciemnieje, a poprzez mrok widzi wykrzywioną twarz Ondraszka... To nie jest twarz Ondraszka!... Maszkara to djabelska, larwa piekielna!... Zabić ją!... Zdławić!... Zdusić!... Chryste Boże!...

Zagruchotały liczne buty, skłębili się krzyk w izbie, mocne dłonie odrywają go od syna, rozdzielają szeroko. Równocześnie przejmujący, wysoki krzyk matki rozpryskuje się w gęstwie wzburzonych głosów.

— Nale wójciczku!... Nale wójciczku!... — słyszy Szebesta czyjeś wołanie.

Oprzytomniał, obejrzał się.

Widzi koło siebie krąg przerażonych oczu chłopskich, po drugiej stronie izby zaś slaniającego się Ondraszka w ramionach matki.

— Precz!... Precz mi z domu!... — zaskowyczał, roztrącając chłopów. Nie doszedł jednak, bo ułapił się za serce i przechylił ciężko na ich ręce.

Nazajutrz matka udała się do Frydku, do Matki Bożej, cudami słynącej, żeby się Jej poskarżyć w udręce i o zmiłowanie prosić.

Matka Boża stała na słupku i patrzyła daleko. Trzymała Jezuska w ramionach, a Jezusek także patrzył daleko. Słupek był czerwony i bluszczem owinięty. Pod gontowym daszkiem, co Matkę Bożą przed zbytnim upałem i przed deszczem chronił, oraz na ziemi koło słupka paliły się świece i lampki oliwne.

Ondraszkowa matka wetknęła do ziemi dwie woskowe świece. Potem wykrzesła ogień w hubkę i zapaliła je ostrożnie. Nie chciała brać płomienia od gorejących świec i lampek oliwnych, bo modlitwa możeby nie skutkowała. A teraz, jak długo będzie się modliła, niech świece goreją. Jeżeli żadna z nich nie zgaśnie, znak to będzie niechybny, że ją Matka Boże wysłucha.

Kończyła już swoje pacierze, kiedy przyleciał wicher i zdmuchnął płomień. Inne świece i lampki paliły się nadal, a jej świece zgasły.

Wtedy legła na ziemię i płakała.

Płakała tak rzewnie, jak tylko matka zdolna płakać, gdy jej dziecku śmierć pisana. Łzy wsiąkały w ziemię.

Potem wstała i złamana wróciła do domu.

— Ondraszku — rzekła, kiedy stary Plinta przyprowadził go ukradkiem do izby. — Słyszysz Ondraszku, dziecię me jedzine!... Już teraz umrzę!...

Ondraszek stał przy łóżku i patrzył na dogorywającą matkę. Nie mógł zrozumieć jej słów.

— Co mówicie, mamulko?

— Już teraz umrzę, mój syneczku złoty!... — rzekła znowu i ujęła go za dłoń.

Ondraszek teraz dopiero pojął słowa matki. Dłoń jej bowiem była zimna i chuda. Chłód jej wyczuł jako zapowiedź kończącego się życia. I w tej samej chwili ujrzał się jakoby na progu oświetlonej izby, patrzący w ciemną, rozdeszczoną noc. W głębi jej czarne wichry skowyczą, rozkołysane drzewa szumia nakształt ogromnej czarnej wody, deszcz pluszczy jednostajnie,

a droga, którą mu pójść wypadnie, przemienia się w grząskie bajora, wertepy, zapadliska i wądolce, w których djabyły siedzą, a wisielce kołyszą się na skrzypiących gałęziach.

Zdusił w sobie lęk, przydeptał mocno. Pozostała jedynie dziwna pustka, dręcząca i pełna żalu.

— Nie umrzecie, mamulko! — rzekł wzruszony, siląc się na spokój.

— Umrzę, syneczku mój jedziny, umrzę!...

— Skądbyście mogli wiedzieć?

— Bo oto zdrzemnęłam się. I widziałam cię, jak szedłeś przez moją izbę. Tam ze szynkowni wyszedłeś. A ta za tobą szła taka wielka, wysoka stwora po biału odziana. Przyszła do mnie, nachyliła się nade mną, położyła mi dłoń na piersi. A dłoń była ogromnie zimne. A wiesz... ta biała stwora, to śmierć

Oglądnał się Ondraszek, bo mu się zdawało, że tamta biała stwora istotnie jeszcze czai się w kącie.

— A ojciec zaciął się... — podjęła znowu. — Powiada, że znać cię nie chce!... Zły duch go omamił...

— Ojciec... — warknął Ondraszek, lecz nie dokończył, bo wyczuł na swojej dłoni chłodną dłoń matki

— Ale on ci przebaczy!... Gdy będę umierać, to ci przebaczy!... Potem znowu poślę po ciebie Plintę do Funioczki!... A oto, Ondraszku... tu masz — i wydobyla spod poduszki mały woreczek, rozwiązała i wysypała z niego niekształtny pieniążek.

— To mój inkluz!... — uradował się Ondraszek. — Gdzie był?

— Znalazłam na progu... Śnać zgubiłeś go...

— Tak, zgubiłem!... Ale kiedy?

— Gdyś do domu wstępował, wracając z Przyborza...

— Ojciec idzie!... Wójciczek... — zawołał z szynkownego progu Plinta, co przy płocie warował. W głosie jego czała się obawa.

Ondraszek głośną matkę po twarzy i wyskoczył przez okno. Równocześnie w szynkowni trzasnęły drzwi i jęła skrzypieć podłoga.

Ondraszek przyczał się w mroku pod oknem i słuchał.

— Dej Boże dobry wieczór! — posłyszał twardy głos ojca.

— Dej Panie Boże!... — odpowiadają Plinta i matka.

— No, jak tam?

Ondraszek nie słyszy odpowiedzi matki. Z otwartego okna dochodzi tylko ciężkie sapanie ojca. Teraz krzesło skrzypi pod nim.

— Och, Boże, Boże!... — wzdycha ojciec, a potem znów nastaje cisza.

Przez okno syczy się słaby odbłask gorejącej świecy na stole i mdły zapach naporu z ziół leczniczych.

— Ty, Plinta!... — dobiega Ondraszka ciepłe wołanie ojca.

— Co, wójciczku?

— Jutro... jutro pójdziesz do Funioczki...

— Pójdę, ale poco, wójciczku?...

— .. pójdziesz do Funioczki... i powiesz tam Ondraszku...

— Co? — mówi matka.

— ...i powiesz, żeby Ondraszek wrócił do domu... że może wrócić... Niech wróci!...

— Mój inkluz!... — szepnął Ondraszek. Ścisnął go mocno w garści. I teraz dopiero wyczuwa koło siebie korzenny zapach kwiatów i skoszonej łąki, słyszy słodkie narzekanie słowików w lipie i spostrzega nad



sobą gwiazdy, a między niemi szeroki, rozwiany szlak mlecznej drogi.

Poszedł w kierunku ciemnych sylwetek Beskidów. Ominął chałupy, powędrował ścieżką między zbożami. Noc była ciepła i pachnąca. Przywiodła mu wspomnienie letniej nocy i Edyty. Ujrzał ją teraz jak żywą, z jej długimi, rudymi włosami, stojącą nad głębiną. Śpiewała jakąś smętną pieśń w swoim języku. Słowa były gardłowe, lecz melodia przypominała zawodzenie słowików. Oparta o topolę, zasłuchana w siebie, zdawała się nie dostrzegać obecności Ondraszka. Księżyc łuszczył się na głębinie w obłę, ruchliwe błyski, woda zaś bełkotała sennie i przelewała się pod jej nogami w srebrne mroki. Na topoli kłaskały słowiki.

— O czym śpiewasz, Edyto? — zapytał.

Edyta podniosła duże, ciemne, gorejące oczy, uśmiechnęła się. Potem zarzuciła mu nagie ramiona na szyję, przywarła do niego.

— O naszej miłości śpiewam!... — rzekła cicho, a ciało jej pachniało letnią nocą. — To miłosna pieśń dziewczęcia z Sunamu... Sulamit... Wiesz?

— Wiem!

Księżyc spochmurniał, gwiazdy przybladły, bo stanął mu przed oczami ojciec Edyty, kiedy go spotkał na drodze.

— Gdzie Edyta?... Gdzie Edyta?... — krzyczał, trzęsąc Ondraszkciem. Siwy, złamany, owrzodziały, w jarmułce na czubku głowy, z roztrzęsioną głową, o zakrzywionych, drapieżnych paluchach, cuchnący, o oczach zbitego psa.

Ondraszek odrzącił go z odrazą.

— Gdzie Edyta?... Powiedz, gdzie Edyta?... — skamlał na drodze, czepiając się jego kolan.

— Tam... w rzece!...

— Żeby krew wyschła w twoich żyłach!... Żebyś trądem został obsypany!... Żebyś oślepl!... Żebyś zgnił za życia!... Żebyś przeklęty był do końca żywota!... Żebyś po trzykroć... po tysiąckroć przeklęty był, ty psiel!... O Jahwe!...

Ondraszek zatkał uszy dłońmi i uciekał.

Zakłaskał słowik w olszynie, błysnęła Ostrawica migotliwym srebrem w księżycu. Ondraszek obejrzał się dookoła. Podobny był do człowieka, co się przebudził z ciężkiego snu i myśli nie może jeszcze pozgarniać.

Słowikowi w olszynie odpowiedział drugi słowik nad rzeką. Rzeka przelewa się w księżycu ze srebrnym szepem.

Magister Lucchesini, mały, zasuszony, o twarzy podobnej do pomarszczonego jabłka, kwęka za katedrą i bełkoce, Ondraszek zaś czyta pod ławą „Pieśń nad pieśniami Salomonową” z Septuaginty, którą od pater Mołdryka wycygał.

„...O jakoś ty piękna, przyjaciółko moja, o jakoś ty piękna!...

Oczy twoje jako oczy gołębicy...

Zęby twoje jako stada owiec jednakowych...

Wargi twoje jako sznur karmazynowy...

Szyja twoja jest jako wieża Dawidowa...

Obie piersi twoje jako dwoje bliźniąt sarnich, które się pasą między linjami...

...wszystkaś ty jest piękna, przyjaciółko moja! a zmazy niemasz w tobie!...

— Edyta!... Edyta!... — powtarza Ondraszek w myślach. Słowiki płaczą żałośnie i kwilą, woda zaś w rzece dzwoni miękkim srebrem.

— Hop!... Hop!... — przyleciał stamtąd zachrypły krzyk.

Ondraszek oprzytomniał i słucha. Znowu ktoś woła od rzeki. Pognał naprzecią w jej kierunku.

Dobiegając, ujrzał palące się światła na środku nurtu, ciemną, powyginaną kapryśnie sylwetkę powozu, konie i dwóch mężczyzn.

— Co jest?... Co wołacie? — zapytał, stając na brzegu.

— Chodź pomóc, ktokolwiek jesteś!...

Ondraszek zrozumiał, że to hrabiowski powóz, który ugrzązł w rzece. Widać ciepła noc skusiła kogoś z frydeckiego zamku do przejażdżki, a teraz wracając, wbród chciał Ostrawicę przejechać. Koła uwięzły w głębinie i konie nie mogą ruszyć z miejsca.

Wstąpił do wody, nie ściągając butów. Woda przy powozie sięgała mu do pasa. Przelewała się z szumem między złożonemi sprychami, podmywała rzeźbiony kadłub kolasy. Stangret trzymał zastraszone konie u pyska, a w wodzie, tuż przy powozie stał jaśniepan grafi frydecki, Prażma i kłął stangreta. Polya haftowanego fraka rozgarniała woda, on zaś wciąż poprawiał zsuwającą się perukę i gniewał się głośno.

— Pomóż wydobyć!... — rzucił Ondraszkowi.

Ondraszek obejrzał koła, czy nie złamane. Potem stanął w tyle powozu, zaparł się nisko plecami, dło mi ujął sprychy i jął podnosić. Zdziwił się, że taki lekki jego ciężar. Równocześnie konie szarpnęły i koła zatarkotały po kamieniach. Kiedy powóz stanął na brzegu, wrócił się jeszcze po grafa Prażmę. Stał bowiem wciąż na środku rzeki i coś krzyczał śmiesznym, starczym głosem. Ujął go wpół i wywiódł również na brzeg.

— Kto ty? — zapytał go grafi Prażma.

— Ondraszek, syn dziedzicznego wójta Szebesty w Janowie.

— Tu masz!... — mruknął grafi Prażma i jął wydobywać monetę z przemokniętego woreczka. Równocześnie wysunęła się z powozu, z poza czerwonej aksamitnej kotary, biała wąska dłoń.

— Merci!... — usłyszał dźwięczny głos kobiecy.

Ondraszek zdumiał się na widok owej białej dłoni i dźwięk tamtego głosu słodkiego. Nauczony od swych szlacheckich kolegów w Przyborze kawalerskich manier, zdjął nisko magierkę, skłonił się, ujął tamtą pachnącą dłoń w dwa palce i ucałował. Wtedy zdziwiona dłoń cofnęła się, kotara się odsunęła, a z głębi powozu wynurzyła się biała, delikatna twarzyczka. Duże oczy patrzyły na niego ciekawie.

— Voyez donc!... Mais c'est une beauté parfaite ce garçon!... — zadzwonił jej głos. Były w nim zdziwienie i zachwyty.

— Mon chéri — rzekła teraz do grafa Prażmy, co się nachylił z przesadną unizonością do odsłoniętej kotary — il faut l'installer au château!...

Grafi Prażma skrzywił się nieznacznie i spojrzął na Ondraszka, stojącego w księżycu.

— Rozumiałeś? — zapytał go cierpko.

— Nie, jaśniepanie!

— Pani grafinia prosi, żebyś pojechał z nami na zamek. Chcesz?...

Zawahał się Ondraszek. Lecz kiedy spojrzął na tamtą białą twarz z płonącymi oczami, kiedy dojrzał na wąskich ustach dziwny uśmiech, a w nozdrza uderzył go oszałamiający zapach perfum, postanowił.

— Pojadę! — i powtórnie ukłonił się grafinie.

— Siadaj! — rzekł wtedy grafi Prażma, wskazując mu niedbale miejsce koło stangreta. Potem wszedł nachylony do powozu i zatrasnął drzwiczki.

Czarne konie ruszyły z kopyta białą drogą frydecką.



# ANTYK CZY MEBEL NOWOCZESNY?

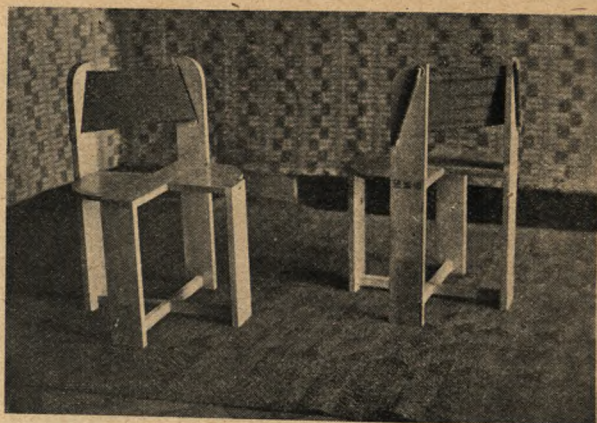
Dziś, kiedy życie pędzi w przyspieszonym, zawrotnym tempie, w bezustannym pośpiechu, w denerwującej i wyczerpującej sile fizycznej pracy, musimy mieć jakąś ostoję spokoju i ciszy, którą powinno być nasze mieszkanie.

Musi ono być przede wszystkim czyste, jasne, posiadać możliwie dużą przestrzeń, dużo światła i powietrza i estetyczne umeblowanie. I tu stajemy wobec trudnego problemu — co uznać za estetyczne, stary, ciężki, stylowy mebel, a co za lekki, nowoczesny?

Jeżeli obejrzymy mieszkania naszych starych ciotek lub innych krewnych z ulicy Hożej czy Wilczej, w kilkupokojowych apartamentach znajdziemy wiele „niepotrzebnych“ przedmiotów i mebli.

„Niepotrzebnych“ z punktu widzenia użyteczności, mających jedynie wartość muzealną. Są one niewątpliwie piękne, artystycznie wykonane, ale... bezużyteczne.

Ogromny salon ciotki w stylu Ludwika XIV. Jak głoszą rodzinno-plotkarskie kroniki, żadna służąca nie może wytrwać u ciotki dłużej ponad dwa miesiące z... powodu sprzątania salonu. Wiadomo, że obecna pomoc domowa ma wybitnie nowoczesne wymagania, a żąda tylko starej taryfy plac.



Nowoczesne meble ogrodowe.  
(Fotografia Ładu).

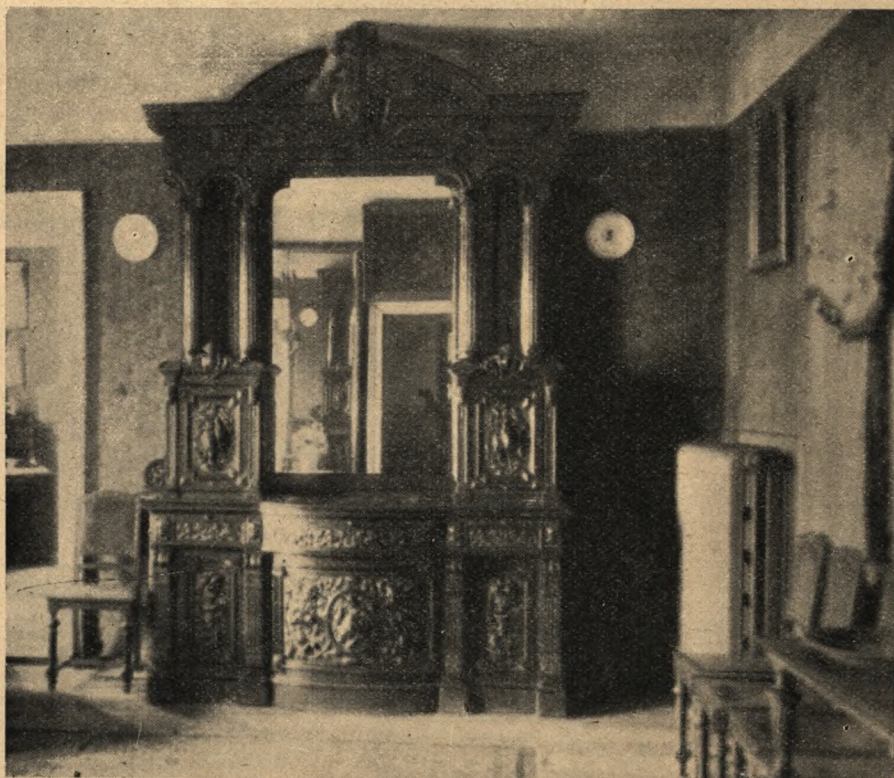


Dwa razy do roku liczna rodzina zbiera się na Hożej. Raz w święta Bożego Narodzenia, ale wtenczas z salonu nigdy się nie korzysta, bo w grudniu jest zazwyczaj mróz, a ze względów oszczędnościowych w piecu prawie się nie pali. Drugi raz w lipcu, w dzień swoich imienin, ciocia przyjmuje nas na wsi, więc i teraz majestatyczne „Ludwiki“, okryte pokrowcami i warstwą kurzu, stoją w ciszy i spokoju salonu. Ileż jeszcze jest podobnych bezużytecznych salonów nawet nie dla „parady“? Oprócz salonów istnieją jeszcze gabinety męskie wujków i dziadków. Fotele, gablotki, i półki, nadzwyczajnie misternej roboty. Pięknie rzeźbione ornamenty są doskonałymi zbiornikami kurzu, którego nie jest w stanie usunąć ani zajęcza łapka, ani indyjskie pióro. Ciężkie monumentalne graty. A sypialnie! Te niedawno wbrew tradycji „zmodernizowano“. Z nad mahoniowego łóża usunięto lambrekiny z bombelkami, chwasty, a z boków zasłony, w których draperjach drzymał cały arsenał kurzu.

Formy życia, zmieniają formy mebli. Dawne, niewątpliwie nieraz bardzo piękne meble, brzozy, świeczniki mogą znaleźć miejsce w mieszkaniu miłośnika starych dzieł sztuki lub w antykwarni, ale nie w mieszkaniu człowieka, wyteżonej pracy i pośpiechu.

W jego mieszkaniu 1-2-3 pokojem dla siebie, nie dla gości, muszą być meble przede wszystkim wygodne, lekkie, łatwe do przeniesienia, a nade wszystko łatwe do sprzątania.

W dzisiejszych warunkach wiele kobiet, pracujących umysłowo, czy



Kredens z epoki renesansu.





*Nowoczesny bufet.*

fizycznie poza domem, nie może i spełniać tysiące drobnych czyn-  
sobie pozwolić na „pomoc domową”. ności domowych.

Sama więc musi sprzątać, gotować Czyż więc można od niej wyma-

gać, by w celu higienicznego utrzymania mieszkania 3-4 godziny poświęcała na jego sprzątanie, kiedy właśnie tylko 2 godziny ma na ugotowanie obiadu i sprzątanie. Nowoczesne meble o prostych liniach wystarczy raz przeciągnąć ściereczką, aby kurz zniknął. I przez to właśnie wnętrza nowoczesne spełniają wrażenie nadzwyczajnego ładu i porządku.

Obojętne, czy to będzie salon, czy pokój do „wszystkiego” — wszędzie ta sama prostota linii.

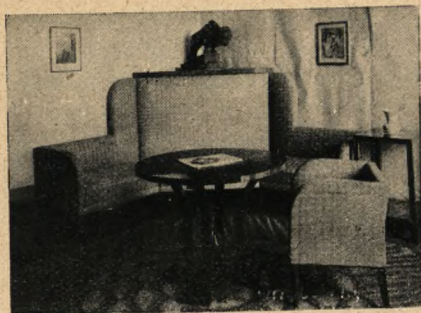
Do niedawna, jeśli chodzi o meble stolarskie, brak był różnorodnego materiału. W granicach czterech gatunków drzewa jak: orzech, jesion, mahoń, czeczotka, rozwiązywano wszystkie projekty meblarskie. Dziś objawiła się tendencja wprowadzenia kolorytu do stolarszczyzny. Nie jest to objaw nowy. Kolorystyka w drzewie znana była w epoce Ludwików i modnej w owe czasy chińszczyźnie.

Zagadnienie kolorytu rozwiązano dopiero w latach 1920—1925. Na



*Sala w stylu Ludwika XIV.*





Salon.

(fot. Ład).

rynkach zachodnio-europejskich zjawily się mało znane gatunki drzew kolorowych, które dotychczas przywożono jako osobliwości. Na nasz rynek przeniknęło ich jeszcze bardzo mało, zaledwie kilka odmian mahoni, fałszywe róże, zebra i makassar.

Kolor w meblarstwie gra wybitną rolę — daje nastrój ciepła, który jest niezbędnym warunkiem, aby człowiek czuł się dobrze w swym mieszkaniu.

W pomieszczeniach takich jak hale i werandy lub ogrody, niezbędne są znów inne meble.

Tu znów duże zastosowanie ma metal w postaci blachy falistej. Służy do wykonania taboretów i stolików. Np. stolik wykonany z jednego kawałka blachy. Błat jest płaski, wzmocniony dwoma zagięciami prostopadłymi, stwarzającymi jedną bryłę.

Nogi są zwężone w tym celu, aby miały możliwie najgłębsze fale i przez to były mocniejsze.

I wreszcie drugi rodzaj mebli ogrodowych — to kompozycje z cienkich, barwnie malowanych deszek.

Nie mniej ważnym zagadnieniem od wnętrza naszego mieszkania, jest wnętrze sklepu, w którym kupujemy.

Zwykle chętniej kupujemy w tym sklepie, gdzie jest estetyczne urza-

dzenie, niż tam, gdzie przeładowane półki uginają się pod ciężarem rozrzuconego towaru.

Przesąd, że bogatsze wnętrza pociąga za sobą wyższe ceny obalony, bowiem amortyzacja kosztowniejszego wnętrza jest na kalkulacji obrotu, a nie wysokich cen.

Zewnętrzna i wewnętrzna szata magazynu jest wyrazem dobrze pojętej polityki kupieckiej i zapatrywań handlowych jego właściciela. Handel nowoczesny polega na rywalizacji w zdobywaniu klienta, na wysuwaniu się na plan pierwszy i na stworzeniu przyjemnej atmosfery kupna.

Dla każdej branży musi być inne specjalne założenie — architektura wnętrza sklepu musi być tłem dla towaru.

Często, gdy jesteśmy zdezorientowani — jeśli chodzi o wyrażenie zdecydowanej pewnej opinii — pytamy o zdanie innych.

Otóż pewnego razu dwom właścicielom firm meblowych, z których jeden miał sklep z meblami starych stylów, a drugi wyłącznie nowoczesnymi zadałam pytanie, „który mebel zwycięży, dawny, czy nowoczesny?“

Pierwszy odpowiedział mi zdaniem jednego ze swoich klientów: „od patrzenia na te nowoczesne „dziwolągi“, które mam w mieszkaniu, zmory mnie męczą po nocach“. Drugi zaś odpowiedział; „na to, aby Warszawa oceniła użyteczność i praktyczność mebli nowoczesnych — trzeba ją dopiero wychować!“ Który z nich ma rację?

Izabela Hentzlówna.



Komplet mebelków, mających zastosowanie w każdym pokoju.

(fot. Ład).

## WSPOMNIENIE Z FORUM ROMANUM

Strzep tylko epopei: trzy stare kolumny,  
Obdarte ręką czasu, z rzeźby kapitele,  
Strzep tylko epopei! — Ale wielki, dumny,  
Powiedzieć nam o sobie może bardzo wiele...

Szczątek domu Cezarów. Fragment perystych,  
Patrzył w potęgę Romy, życia będąc świadkiem,  
Bóg, Piękno i Artysta w nim ducha wysilił,  
Dziś tylko dla przyszłości jest może... zadatkim?

Szare „Dzisiaj“ ku niemu przybliży się codnia,  
Z półśmieszkiem beczelnym maski Arlekina,  
Szare „Dzisiaj“ ma minę zwykłego przechodnia,  
Który sobie z historii coś tam przypomina...

A ty drzemiesz Kolosie, słońcem wyzłocony,  
Pyszni się szczątek rzeźby genjusza polotem,  
Dzień jutrzejszy nad tobą stanie pochylony,  
Kiedy padniesz w pył ziemi, obryzganym błotem...

Tadeusz Czarnomski.



# Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

## POWTÓRZONY CHRYSZTUS.

Przeszedł, jak meteor, po niebie dziejów ludzkich. Zabłysnął promienną mądrością i blaskiem cudów i odszedł od nas po trzydziestu kilku latach, spędzonych na ziemi.

W tych latach niewiele „przeszedł, czyniąc dobre” i „objawiła się łaskawość i ludzkość Zbawiciela naszego, Boga” i „zajaśniało Bóstwo w obliczu Jezusa Chrystusa”. Poczem zamknęła się za Nim pieczara grobowa — i rzeczy można — wszystko się skończyło...

A jednak nie! Po odejściu z tej ziemi fizycznej osoby Boga-Człowieka, począł żyć i iść przez dzieje powtórzony Chrystus. Tym razem przez dzieje wszystkich narodów, przez terytorja wszystkich ziem.

Przedziwny to — w życiu swych wiernych, w losach Kościoła swego — powtórzony Chrystus!

W każdym więc świata zakątku ma chwilę tajemniczą, gdy się rodzi. Wtedy tam zwykle noc panuje. Tylko niebiosą goreją od gwiazd, nieopowiedziane, nadziemskie światy służą Wszzechmogącemu, ale na ziemi rozciąga się noc czarna. Ciemność umysłów, mrok sumień i serc, zagmatwanie pojęć i wierzeń, upodlenie bogów i ludzi... Wtedy zjawia się w tych stronach niepozorny orszak zwiastunów ewangelji, jak ów z dni Betleemu, gdy na osiołku jechała Niewiasta, a obok Niej kroczył Cieśla z Nazaretu. W zwykłych ramach zwyczajnego życia ludzkiego, z betleemskim ubóstwem, bydłętami i grotą, z pierwszym pokłonem ubogich pasterzy, z pierwszymi okrzykami radości dusz sprawiedliwych, jak Symeon i Anna, a czasem tylko w niektórych narodach, jak Polska, z pokłonem swych mędrców i królów, rozpoczyna się życie Kościoła, w którym przebywa, z którym współżyje „powtórzony Chrystus”.

Następują długie, ciche lata powolnego rozwoju, wzrastania w łasce u Boga i u ludzi. Każdy rok Nazaretu rozciąga się na lat dziesiątki, nim wreszcie zabłyśnie w danym narodzie jakieś wielkie imię. Jakiś Jan się zjawi nad Jordanem, wykarmiony wzmocnionym prądem życia religijnego, jakiś Stanisław ze Szczepanowa wstrząśnie świadomością swych współziomków, stając w blasku cudów nad otwartym grobem Piotrowina... Wówczas intensywnie pracować poczyna „powtórzony Chrystus”. W postaci biskupów swych i kapłanów osiada we wszystkich miastach i miasteczkach, dociera do wszystkich sfer narodu, najbardziej zapadłych wiosek, najbardziej opuszczonych dusz. I mnożą się dziwy Jego śladami. „Ślepi widzą, głusi słyszą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, umarli zmartwychpowstają”. Najbardziej zastarzałe i zaniedbane kalectwa duchowe znajdują swe uleczenie. I tłumy za Nim dążą wszędy, „ponieważ moc wychodzi z Niego i uzdrowia wszystkich”. Nawet uczeni, a ostrożni Nikodemowie decydują się odwiedzić Go pocichu, sekretnie, wieczorną porą, by Mu pochlebić mniej lub więcej szczerze: „Mistrzu, wiemy, że jesteś od Boga, bo nikt nie może dokonywać czynów tak wielkich, jak Ty. Boskim światłem jednej prawdy, boską mocą jednego prawa zdołałeś natchnąć pięć ładów, oświecić wszystkie ludy. Ten cud nikomu się nie udał, tylko jednemu Tobie”...

Ale wreszcie popularność „wielkiego proroka” poczyna być solą w oku Herodom, Kajfaszom, faryzejskim uczynom. Jednolita, wiekuiста prawda rani ich ciasne, krecie horyzonty umysłowe. Jednolite prawo, co jak pion zostało przyłożone do budowy ciała ludzkości, wszędzie, dla wszystkich, miażdży i zawadza ich dziecinny, wyssanym z pa'uszka, miarkom i łokciom nigdy nieobliczalnym na terenie obyczajów ludzkich. Jednolita władza Kościoła, której zasięg — od bieguna do bieguna, nie dogadza ich maleńkim królestwom, cesarstwom, mocarstwom. I na pewnym posiedzeniu, powagą „Rady Najwyższej”, — w imieniu władzy, prawa, prawdy — zapada nań dekret: „Musi umrzeć”. Za wielki już urósł!

Zatem idzie na mękę „powtórzony Chrystus” w osobie swego Kościoła.

Najczęściej taki bywa do niej wstęp, że uczniowie śpią smaczno, upojeni triumfalnym wjazdem, okrzykami „hosanna”! entuzjastycznym powitaniem tłumów, które w procesjach ulicami miast i wiosek towarzyszą Kościołowi. Dostojnicy państwowi mogą w nich brać udział. Nikt nie widzi, jak pokryjomu, niezauważony, skrada się i czyha zdrajca, jak za nim szeregują się ideowi i płatni siepacze. Niebawem osaczają swą ofiarę. W największe swoje święto, w najuroczystszy nastrój całego narodu, wnoszą szcęk broni, zgrzyt i hałas, palenie świątyń, rozpacz i krew...

Wrogowie go chwytają w swe szpony. Krępują powrozami ustaw, kajdanami drakońskich zarządzeń policyjnych. Plwają nań w prasie, na wiecach, scenach i ekranach. A wierni?... Jedni uciekną w popłochu, nie na siebie, ale na niego składają winę i wyrzut, że taki słaby, że nie chce się ratować cudem, — a drudzy poprostu się go zaprą i przystaną do wrogów.

Ci i owi rzucą się gorączkowo do niewczesnej obrony. Dobędą miecza, wbrew jego zamiarom i woli, zakrwawiając jego serce, rozjątrając jeszcze bardziej wrogów. Inni — całą swą bezsilność, żal i udrękę wyją we łzach w skrytości.

Tymczasem wrogowie, pijani radością, stawiają go przed parodią sądu. Na podstawie oszczerstw i sprzeczności orzekają o jego winie. Rozdzierają szaty, że nazwał się Synem Bożym, jedynym sędzią świata, Dziedzicem Królestwa Prawdy. Wyśmiewają go jako marzyciela, fantastę, głoszącego naukę niemożliwą do przyjęcia dla tych, co chcą żyć i użyć.

Zawsze przeniewiercą prawa bożego będzie sąd, który go na śmierć zasądzi. I zawsze poganinem będzie namiestnik cesarski, który ten wyrok śmierci zatwierdzi. I zawsze motłochem, niechlujnym i plugawym, będą ci, co mu w godzinach krzyżowych nie oszczędzają szyderstw.

Ale drżać będą posady gór, groby się poruszą, niebo zasłoni swe oblicze i kotara świętego świętych podrze się na strzępy w tym narodzie, z ręki którego umrze „powtórzony Chrystus”...

Umrze i na krótko będzie w grobie złożony, bo dnia trzeciego — zmartwychwstanie w chwale!

Jan Czar.





*Głowa Chrystusa.*

(Z filmu „Golgota”).



# GOLGOTA NA EKRAŃ!

Alger, luty (korespondencja własna).

Któżby nie skorzystał z aproszenia dykcji „Ichthysfilmu“, proponującej zwiedzenie terenów zdjęć do epokowego filmu „Golgota“. Zwłaszcza dla mnie przybysza z dalekiej i mroźnej „ziemi mogił i krzyży“, niezbyt zachwyconego kaprysmi paryskiej zimy, perspektywa skąpania się we wczesnym słońcu afrykańskim jest nad wyraz ponętna. Siadam więc do samolotu, by w kilka godzin znaleźć się w Marsylii, a stąd okrętem przez morze Śródziemne ku Afryce, drogą okrężną, ale zato piękniejszą. Rozciąga się przed nami szmaragd morskiej toni, niezmaczonej zupełnie. Mijamy Korsykę, gniazdo napoleońskie. zbliżamy się

ku brzegom pradawnej Italji. Drugi dzień podróży zastaje nas w Neapolu, który wspaniałym diademem swej nocnej iluminacji, ukoronowanej pióropuszem Wezuwiusza, czaruje nasze oczy. Teraz czeka nas Scylla i Charybda; potworów nie widać, mijamy więc bezpiecznie Sycylię i ostrym rejssem mkniemy ku Kartaginie. W przezroczej toni wód szukam szczątków rozgromionej przez Rzymian floty fenickiej, może gdzie na rufie spostrzegę resztki lin, które fenickie niewiasty splatały ze swych włosów. O czasy bohaterkie! Lecz trzeba wracać do rzeczywistości.

Czas podróży skracam sobie rozmową z jednym z asystentów reżysera „Golgoty“, René Duviviera.

Sypie mi on różnemi szczegółami o tem i o owem. A to jak trzeba było płacić wysokie odszkodowanie (jakieś 20.000 fr.) Komedji Francuskiej za zaangażowanie dwu naraz jej aktorów, co sprzeciwia się konwencji. A to jak się zastanawiano nad kwestją właściwej fizjognomji Zbawiciela. Przypominam w odpowiedzi pracę, której dokonał Cecil de Mille, przygotowując swego „Króla królów“. Zgromadził wówczas koło tysiąca podobizn Chrystusa najrozmaitszych epok i szkół malarskich. Na tej podstawie ustalono najbardziej typowe cechy fizjognomiczne i według tego dobrano wykonawcę w osobie Warnera.

Od tej rozmowy odrywa nas rąbek afrykańskiego wybrzeża. Oto przed zachwyconemi oczyma rozpościera się wdzięczny wachlarz algerskiego portu. Jego tło stanowi niebieskawo-szara toń śródziemnomorska, powyżej amfiteatralnie spiętrzone miasto tworzy deseń dekoracyjny. A całość uzupełnia falista smuga zalesionych pagórków i białych jak kreda skał i wykańcza rąbek błękitnego nieba. Co za przepych natury!

Celem naszym jest po wyładowaniu Fort de l'Eau, 20 km oddalony od Algeru. Droga wije się nad laguną, gładka i lśniąca jak tarcza Achillesa. Pędzimy błyskawicznie zdani na łaskę szofera, którego fantazja ustala normę szybkości. Policja się tem nie interesuje. Dopiero po wypadku Na szczęście nie daliśmy jej potem okazji.



GOLGOTA

(Ks. J. Reymond i reżyser Duvivier realizatorzy filmu)

Eksp. PARLOFILM

Ks. J. Reymond i reżyser Duvivier, realizatorzy filmu „Golgota“





**GOLGOTA**  
(Sanhedrin)

Eksp. PARLOFILM

*Sanhedryn się naradza.*



*Żona Pilata i jej przyjaciółki.*



nami niezmierną, monotonna równina, od której dolatuje nas oddech Sahary, Sudanu i tajemniczej krainy Hoggar, serca Afryki, jak sercem Azji jest Tybet!

Azja?! Czyż nie tu? Oto mury Jeruzalem. Ten ogrom, gdy stanęliśmy u ich stóp, przytłacza nas jak cień Atlasu. Wewnątrz mieści się świątynia Salomonowa i pałac Heroda, arcydzieła rekonstrukcji. A wszystko, o ironjo cywilizacji, otoczone drutem kolczastym, do którego dostępu bronią Arabi, uzbrojeni w nowoczesne manlichery.

Tak więc zaledwie stanęliśmy pewną stopą w Afryce, odrazu zostajemy przeniesieni do Azji. Ten cud ma wpływ nie tylko na przestrzeń, lecz i na czas. I oto jesteśmy przed jedną z bram Jerozolimy, sprzed jakichś blisko dwu tysięcy lat.

Dmie gwałtowny wiatr, mimo, że niebiosa pozostają pogodne.

Stajemy na stoku pagórka, kędy trzody owiec, strzeżone przez zadumanych pasterzy, których sylwetki zarysowują się na tle niebieskiego stropu, skupią pęki pachnących ziół.

Przez bramę słynnego miasta judejskiego wzdłuż wyszczerbionych murów, przewala się ciżba ludzka, — tłum wschodu, krzykliwy i rozleniwiony. Wznoszą się namioty. Objuczone wielbłądy rzucają długie i tęskne wejrzenia w głąb pustyni, przeżuwa jąc jakieś dziwne trawy.

Wtem cały ten tłum przykucnął na spalonej ziemi. Tak razem ściśnięci robią wrażenie miniaturowych skał wzdłuż murów miasta, w mięsistych fałdach burnusów toną kształty i giną twarze białe, zorane samumem.

Przez dolinę, dzielącą nasz wzgórek od leniwego i skupionego tłumu, który wydobył się w tych dniach świątecznych z ciasnych uliczek Jerozolimy, przedostają się jak mogą przekupnie wraz ze swoimi osłami.

Mają właśnie zamiar przekroczyć bramy wiecznego miasta, gdy napotykają na tłum dzieci, pędzonych biczami przez kohortę rzymskich legionów.

Przed naszymi oczyma w dalekiej głębi wystrzelają w niebo bastiony Atlasu, podpierającego, według starożytnej legendy, sklepienie świata. Ich ostwiałe, śnieżne szczyty dumnie wdzierają się w błękitne niebo, niepokojąc jego ciszę fioriturami swych iglic.

Lotem strzały przybywamy do Fort de l'Eau. Jest tu schludnie, przestronnie i aż ćmi oczy od blasku ochry, patynującej nowe, komfortowe wille. Auto mnie aleją wysadzaną fikusami, przystrzyżonymi prostokątnie. Zostawiamy w lekkomyślnym pędzie ostanie wille, prekursorki nowej cywilizacji. Przed



*Pilat rozmawia z żoną.*

Koń, stający dęba, toruje drogę dla postaci, mającej raczej wygląd szkieletu, wychudłej i dziwacznej, przystrojonej w kawał deski, oraz w okrutną koronę cierniową. Krew spływająca po jego twarzy nie jest wstanie ugasić gorączki, jaka przebija w jego wejrzeniu.

Nagły wiatr pustynny przyprowadza go o drżenie. Za nim ciągną trzy drewniane krzyże... Tymczasem tłum wzburzony



*Trzy postacie Chrystusa z poprzednich filmów.*



*Z krzyżem na ramionach i z deską wyroku śmierci.*

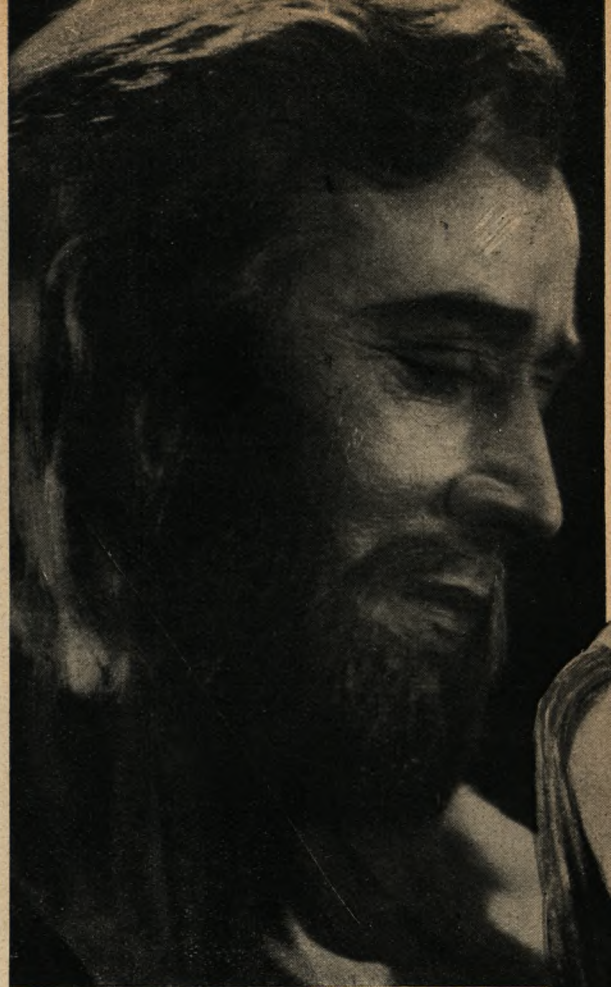




**GOLGOTA**  
(Sanhedrin)

Eksp. PARLOFILM

*Sanhedryn się naradza.*



nami niezmierną, monotonna równina, od której dolatuje nas oddech Sahary, Sudanu i tajemniczej krainy Hoggar, serca Afryki, jak sercem Azji jest Tybet!

Azja?! Czyż nie tu? Oto mury Jeruzalem. Ten ogrom, gdy stanęliśmy u ich stóp, przytłacza nas jak cień Atlasu. Wewnątrz mieści się świątynia Salomonowa i pałac Heroda, arcydzieła rekonstrukcji. A wszystko, o ironjo cywilizacji, otoczone drutem kolczastym, do którego dostępu bronią Arabi, uzbrojeni w nowoczesne manlichery.

Tak więc zaledwie stanęliśmy pewną stopą w Afryce, odrazu zostajemy przeniesieni do Azji. Ten cud ma wpływ nie tylko na przestrzeń, lecz i na czas. I oto jesteśmy przed jedną z bram Jerozolim, pięć lat.

Dmie gwałtowny wiatr, mimo, że niebo

Stajemy na stoku pagórka, kędy trzody manych pasterzy, których sylwetki za rysowują, skupią pęk pachnących ziół.

Przez bramę słynnego miasta judejskiego, przewala się ciżba ludzka, — tłum wny. Wznoszą się namioty. Objuczo ne wielejrzenia w głąb pustyni, przeżuwa jąc jak

Wtem cały ten tłum przykucnął na spali robią wrażenie miniaturowych skał wzdłuż fałdach burnusów toną kształty i giną twar

Przez dolinę, dzielącą nasz wzgórek od który wydobył się w tych dniach święteczny my, przedostają się jak mogą przekupnie wr

Mają właśnie zamiar przekroczyć bramy tykają na tłum dzieci, pędzonych biczami jonów.



*Żona Pilata i jej przyjaciółki.*



Przed naszymi oczyma w dalekiej głębi wystrzelają w niebo bastjony Atlasu, podpierającego, według starożytnej legendy, sklepienie świata. Ich osiwałe, śnieżne szczyty dumnie wdzierają się w błękitne niebo, niepokojąc jego ciszę fioriturami swych iglic.

Lotem strzały przybywamy do Fort de l'Eau. Jest tu schludnie, przestronno i aż ćmi oczy od blasku ochry, patynującej nowe, komfortowe wille. Auto mknie aleją wysadzaną fikusami, przystrojonymi prostokątnie. Zostawiamy w lekkomyślnym pędzie ostanie wille, prekursorki nowej cywilizacji. Przed



*Pilat rozmawia z żoną.*

Koń, stający dęba, toruje drogę dla postaci, mającej raczej wygląd szkieletu, wychudłej i dziwacznej, przystrojonej w kawał deski, oraz w okrutną koronę cierniową. Krew spływająca po jego twarzy nie jest wstanie ugasić gorączki, jaka przebija w jego wejrzeniu.

Nagły wiatr pustynny przyprowadza go o drżenie. Za nim ciągną trzy drewniane krzyże... Tymczasem tłum wzburzony



*Trzy postacie Chrystusa z poprzednich filmów.*



*Z krzyżem na ramionach i z deską wyroku śmierci.*

y, sprzed jakichś blisko dwu ty  
a pozostają pogodnie.  
owiec, strzeżone przez zadu  
ją się na tle niebieskiego stro  
o wzdłuż wyszczerbionych mu  
schocu, krzykliwy i rozleniwio  
błądź rzucają długie i tęskne  
ieś dziwne trawy.  
onej ziemi. Tak razem ściśnie  
z murów miasta, w mięsistych  
rze brązowe, zorane samumem.  
leniwego i skupionego tłumu,  
n z białych uliczek Jerozolim  
az ze swoimi osłami.  
wiecznego miasta, gdy napo  
przez kohortę rzymskich leg-



przez ciwilę tym widokiem, widać już do swego beztróskiego życia...

Orszak umęczonych posuwa się powoli — jakaś straszna zjawia z nieprzytomnego snu. — Na szczycie pagórka rysują się trzy czarne sylwetki na tle niebios. To oprawcy, kopią opokę ciężkimi motykami.

Ten drobny napozór wypadek, który zdołał zaledwie na chwilę przytłumić wesołość rozbażonej Jerozolimy, przewróci wkrótce stary porządek świata, zmieni jego cywilizację i ducha.

Jesteśmy na Golgotcie... Ten, który idzie tam w dół, to Jezus z Nazaretu, „Król żydów“, skazany na mękę krzyża. — Tak głosi napis w języku hebrajskim, na desce u szyji. A za Nim, uginający się pod narzędziem kary, kroczą powoli dwaj lotrzy.

A wtem. — Cóż to za straszny głos? — Krzyk pełen przekleństw, obelg i rozkazów wypełnia powietrze, a tymczasem na prawo szumi morze, a na lewo wznoszą się nieme pierwsze stoki Atlasu.

Megafon! — A u stóp ginąca w faldach przez wiatr szarpanych, brunatnych szat, siedzi spokojnie św. Dziewica, obok jednego ze starszych Synhedryonu. Całkiem na górze na swoim rusztowaniu, reżyser Juljan Duvivier, klnie w nieskończoność swoich współpracowników.

Teraz idzie o odtworzenie tłumy, pełnego nienawiści, porwanego widowiskiem kaźni. Na ten właśnie tłum, rzuci Chrystus wzrok nadludzki, pełen bólu, przeżycia śmierci i przebaczenia zarazem.

Zdjęcia są w pełni. Przesuwa się przed nami groźna, święta wizja Golgoty. Nagle z afrykańskim pośpiechem zapada noc. I za chwilę, jak powiada Koran, nie będzie można odróżnić „nici białej od czarnej“.

Tymczasem, znajdujemy reżysera, jego pomocników i artystów, przybyłych po to, aby odtworzyć główne postacie dramatu religijnego. Zadajemy kilka pytań p. J. Duvivierowi i sympatycznemu kierownikowi produkcji p. M. Connel. Najprzód pytamy dlaczego wybrano Alger, a nie kraj, gdzie istotnie odbyły się te wszystkie wydarzenia, które zmieniły oblicze świata?

— I z powodów rzeczowych i uczuciowych — brzmi odpowiedź.

— Proszę spojrzeć na krajobraz. Czyż nie jest on jakgdyby odbiciem Judei? Przejechałem cały kraj wszerz i wzdłuż, byłem 700 km. stąd, ale jednak tutaj wróciłem, bo u wrót Algieru znalazłem kraj najbardziej odpowiedni do malowniczych plenerów i najlepiej odpowiadający wymogom rzeczywistości. Czy widzi pan tam w dole po prawej stronie tę zatokę o łagodnej toni, — tam filmowaliśmy sceny nad jeziorem Tyberjady. — Obok jest stary cmentarz arabski — czyż to nie jest odpowiedni gaj oliwny? A naprzeciw bram Jerozolimy znajdujące się wzniesienie, gdzie właśnie



Żołdacy biczują Chrystusa.

(Z filmu „Golgota“).

w chwili obecnej stawia się trzy krzyże, — czyż to nie Golgota?

Dlaczego nie udaliśmy się do Jerozolimy? — Całkiem poprostu powodu anachronizmów. Może pan sobie wyobrazić, że miejsca święte zmieniły swój wygląd w przeciągu tych dwóch prawie tysięcy lat. My natomiast musimy je odtwarzać wiernie. Tutaj właśnie znaleźliśmy tło odpowiednie dla naszych dekoracji, odpowiednie do stworzenia naszego arcydzieła. I nieporównanie przeźrocyste niebo algeryjskie, i ułatwienia pod względem materialnym.

— Dlaczego udaliście się do kraju pod obcym protektoratem, skoro macie u siebie to wszystko, co jest potrzebne do zdjęć?

— Golgota nie będzie odtwarzała dziejów jednego narodu, lecz całej ludzkości.

— Czy film Golgota będzie jedynie ilustracją scen z Męki Pańskiej?

— Nie mamy zamiaru odtwarzać historii Chrystusa wyłącznie. Film Golgota powstał na całkiem innych ideach podstawowych. Akcja opiera się na zagadnieniach ogólnoludzkich i ukazuje oprócz odgłosu procesu Chrystusa i reakcję Jego współczesnych. Oprócz osób, występujących w Ewangelji, są inne, wybijające się na pierwszy plan.

Wśród tej rozmowy z trudnością poznajemy spowodu charakteryzacji: pp. Le Vigan, jako uduchowionego Chrystusa, Charlesa Granvel, Ozanne, Vignier, Gridoux, Péchet, Chabrier, Asselin, Georges Saillard, Villé, Juliette Verneuil, przebrana za św. Dziewicę o rysach czystych i harmonijnych ruchach i Vanna Janni, Marję Magdalenę. — Wreszcie czas na spoczynek. Kładę się na poławem łóżku, o dobroczynny sen miesza mi w pamięci błękit nieba, śnieżność Atlasu, szmaragd morza, druty kolczaste i kolce cierniowej korony, spod której wygląda umęczone oblicze Chrystusa. Nagle wszystko wyjaśnia się w mgłę sennego zamroczenia.

Don José St. Noarro.





*Żoldacy naigravajuą się z Chrystusa.*

(Z filmu „Golgotha”)

## POST W ŚWIETLE HIGJENY

W subtelnym splocie wzniosłych porywów ducha i głosów wrażliwego sumienia, wywołanych przez uświęcony nakazem Kościoła tradycją wieków uroczysty czas gorącej modlitwy, pokuty i skruchy, — umartwienie ciała przez post, jako wyrzeczenie się pewnych pokarmów, umiarkowanie w posiłkach i zaniechanie wystawnych i hucznych rozrywek, zajmuje swoiste miejsce. Zarządzenie to bowiem całkiem konkretne, dobrze zrozumiałe jest dla szerokiego ogółu, nawet dla ludzi, których wzrok nie sięga wdał poza ogrodzenie, otaczające ich domostwo. A jako powszechnie dostępne, przestrzegane bywa nawet przez ludzi, nie będących w stanie wnieść się do poziomu pojmowania wartości duchowych.

Moralne znaczenie postu uzupełnia konieczne tu kształcenie woli w odrywaniu się od rzeczy przyziemnych i błahych.

Ale nie wolno pomijać i odwrotnej, czysto realnej strony medalu, która, aczkolwiek ustępuje stronie czołowej, tem niemniej w życiu ludzkim zajmuje ważne miejsce.

Nadmiar w jedzeniu, dogadzanie niezdrowym fantazjom, chęć wyróżniania się przepychem stanowi głęboko zakorzenioną wadę sfer posiadających.

Znane są lukulusowskie przyjęcia w obciążonych kapiących złotem i ozdobionych lśnjącymi kryształami siedzibach naszych magnatów.

Dość jest zacytować ekstrawaganą ucztę weselną pewnego potentata, która miała miejsce w roku 1681. Ilu tam pracowało kucharzy, pasztetników, cukierników!... A jaka moc była zjedzonych wołów tuczonych, cieląt, baranów, wieprzy, zwierzyny, ptactwa domowego i leśnego, ryb itd. — to i nie zliczyć!

Skoro nawet w opisach tego obżarstwa zawiera się dużo przesady, to i wówczas trudno jest wyjść z podziwu, jak można chęłpić się podobnymi wyczynami, które tak nie licują z górnymi wzlotami ducha naszego narodu.

Niejaki Bohdan, dworzanin ks. Ostrońskiego, według świadectwa Niesieckiego, zjadał na śniadanie ćwierć baraniny, gęś całą, dwa kapłony, pieczeń wołową, chleba 3 bochenki, wypijał dwa garnce miodu i jadł dużo sera. Jadłospisu obiadu i wieczerzy już nie przytaczam, bo i ta próbka wystarczy.

Z czasów upadku Rzeczypospolitej znane jest przysłowie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa”.

A jak jest u innych Słowian?

W lamusie podań naszych wschodnich sąsiadów przechowały się wspomnienia o tem, że wielki książę kijowski Włodzimierz, waląc ołtarze przeżytego kultu Peruna, Stryboga i innych bożków i badając wyznania sąsiadów, odrzucił propozycję muzułmanów i Żydów, którzy namawiali go każdy na swoją wiarę ze względu na zakaz spożywania świniny, mówiąc: „jeść i pić to jest radość Rusi“ (rok 988).



Wszystko toby jeszcze nic. Kto chce niszczyć sobie zdrowie — wolna wola. Ale najgorzej, że obok niepomiarnych ekscesów, obok zbytku bez granic — są ludzie, którzy żywią się chwastami, korą drzew lub puchną i umierają z głodu.

Der Mensch ist, was er isst — powiedział Büchner (1824—1899), to znaczy: jakie pożywienie, taki człowiek. W tym aforyzmie lekarza-filozofa znajduje swój wyraz myśl, że rodzaj pokarmów ma znaczenie nie tylko dla łatwiejszej przeróbki materiałów odżywczych oraz wessania ich przez naczynia chłonne, ale zarówno i dla składu komórek ciała... A ponieważ całokształt komórek stanowi całego człowieka, więc fizyczna wartość tego ostatniego zależna jest od mniej lub więcej doskonałego stanu komórek.

Głównymi składnikami pokarmów, potrzebnych dla podtrzymania biologicznej równowagi ustroju są: woda, ciała białkowe, — jaja, ser, mięso, — tłuszcze (zwierzęce, roślinne) węglowodany (mąka, cukier) i sole. Ponadto w ostatnich czasach dowiedzionem zostało, że oprócz powyższych zasadniczych składników, niektóre pokarmy zawierają jeszcze t. zw. witaminy.

Witaminy zawarte w pokarmach podtrzymują tężyznę ustroju i chronią go przed niektórymi chorobami (przedewszystkiem krzywicą i skorbutem). Odegrują one również potężną rolę w całym cyklu życia ludzkiego.

\* \* \*

Dni objętych postem, licząc wielki post, suche dni wigilije uroczystych świąt i pozostałe piątki, naliczamy około 100. Jednak w tych ramach większość dni jest wolna od ścisłego postu. Ponadto osoby chore i wiekowe, albo są wolne od postu, albo łatwo korzystają z dyspensy, co daje się wytłumaczyć koniecznością zastosowania specjalnej dla nich diety, niezawsze zgodnej z rygiorem postu.

Post wielki, którego już sama nazwa wskazuje na jego doniosłość i naczelne miejsce w szeregu czasów zakazanych, dni pokuty i wstrzemięźliwości, przypada na czas przesilenia klimatycznego, na krańcową część przedwiosnia i na początek wiosny. Ten przełomowy okres, kiedy zima, dożywając ostatnie dni swego panowania, stacza się w otchłań niebytu, a budzi się wiosna, którą nam zwiastuje wesoly śpiew trzepoczącego skrzydełkami i unoszącego się ku niebu skowronka, wypelnia świat nowem natężeniem zjawisk życiowych, zwłaszcza w świecie roślinnym, kiedy na drzewach nabrzmiewają pączki i trawa drobnymi strzałkami przebija mokrą ziemię. W życiu człowieka okresowość jest mniej widoczna, a jednak badacze zjawisk biologicznych odkryli, iż na wiosnę potęguje się wzrost kośćca, wyraźnie zaznaczony u dzieci, stopniowe rozszerzenie się kapilarów skóry tych najdrobniejszych naczyń krwionośnych, co tłumaczy lepsze odżywianie skóry w tym okresie.

Co się tyczy pokarmów, to na wiosnę zaznacza się wyraźnie mniejsze zapotrzebowanie tłuszczów. Rzecz jasna, że obfite spożycie tłuszczu, jako głównego dostawcy ciepła, znajduje swe uzasadnienie w porze, kiedy otoczenie bezbrzeżnymi polami śnieżnymi, ludzie drżą z chłodu.

Podczas postu tłuszcz pochodzenia zwierzęcego zastępuje się poczęści olejami roślinnymi, których mniej zwykle się spożywa, niż masła lub słoniny.

Lorand uważa za najlepszy tłuszcz, i to nie tylko dla żołądka i kiszki, ale też i wątroby, oliwę dobrego gatunku, wyciśniętą na zimno, a więc obfitującą w wi-

taminy. Odnosi się to przeważnie do oliwek, które dojrzały pod słońcem Andaluzji, Katalonji, Sycylii lub południowej Francji.

Powszechnie znane są wysokie walory jarzyn i owoców. Bez porównania stoja one wyżej od wszelkich zimowych przekąsek i przystawek. Pobudzają apetyt, posiadają smak przyjemny, gdyż zawierają kwasy roślinne (jabłkowy, szczawiowy i inne). Zawarty w zielonych jarzynach zielony barwnik, chlorofil, okazał się niezastąpionym lekiem przeciwko arteriosklerozie, jak tego dowiódł dr. Gordonow w swej eksperymentalnej pracy, wykonanej w Instytucie Farmakologicznym w Bernie.

W przepisach trybu życia, a raczej żywienia się postnego, na pierwszy plan wysuwa się eliminowanie z pokarmów wszelkiego rodzaju potraw mięsnych jak również zup, przygotowanych na mięsie. Powstaje przeto pytanie, czy pozbawienie się pokarmu, uważanego powszechnie za najbardziej pożywny, nie znajduje się w rozterce z wymaganiami nauki o zdrowiu.

\* \* \*

Przy osłabionej działalności żołądka, np. wskutek braku kwasu solnego, oraz przy upośledzeniu jelit następuje w nich rozpad pewnych pokarmów, a w szczególności mięsa, przyczem ta masa w stanie rozkładu służy najdogodniejszem podłożem i pożywką dla ogromnych skupień drobnoustrojów gnicia, które wytwarzają substancje jadowite, t. zw. toksyny, które ogromną szkodę organizmowi przynoszą. Natomiast niewielka ilość bakteryj, które przebywają w kiszki zdrowych ludzi jest nawet korzystną dla ustroju, gdyż dzięki tym bakterjom, człowiek jest w stanie trawić pewne części pokarmów, jako np. drzewnik (celuloza) stanowiący twardą otoczkę komórek roślinnych. W przeciwieństwie do zwierząt, ludzie nie posiadają specjalnego czynu do trawienia celulozy. Wskutek tego rozpad białków w jelicie, o ile jest on umiarkowany, może być uważany za zjawisko normalne, którego zwalczać nie należy. Natomiast nadmierne rozkładanie się winno wszelkimi sposobami być usuwane, gdyż gnijące substancje, wstąpiwszy do cienkich kiszki, będą wessane, skąd przyjdą do krwi, powodując zatrucie organizmu, które czasem bardzo niekorzystnie odbija się na zdrowiu. U zdrowych i młodych ludzi tego niebezpieczeństwa nie należy zbyt obawiać, gdyż mają oni cały szereg sił obronnych, zobojetniających jady. Organizmy, osłabione chorobą lub wiekiem, sił tych nie posiadają.

Aby ograniczyć zbyt gnicie w jelicach należy wykluczyć z odżywiania wszelkie substancje mające własność znacznego rozpadu, a więc przedewszystkiem mięso. Ze wszystkich bowiem ciał białkowych najbardziej i najprędzej gnije mięso. Zjawisko to możemy obserwować i poza organizmem: inne ciała białkowe, jak ser, jaja dłużej opierają się rozkładającym wpływom, niż mięso.

Mięso starych zwierząt zawiera dużo tkanki łącznej włóknistej, co utrudnia dostęp soków trawiennych do zawartych pomiędzy włóknami komórek białkowych — stąd trudna strawność takiego starego, twardego mięsa, osobliwie dla ludzi, u których ilość kwasu solnego w żołądku zmniejszona jest.

To samo odnosi się i do tłustego mięsa.

Nadużywanie tych pokarmów może powodować przewlekłe niezdyty żołądka i kiszki a także zwiotcze-



JANINA JASTRZEBIEC-SWIECICKA

## COCTAIL

FRAGMENT POWIEŚCI

— Kłamstwo potrzebne jest w życiu — przerwał, a prawda w czynach... to jest dewiza Nietzschego i — moja! — podkreślił dumnie.

— To widać w każdym ruchu pana, że wzoruje się na tym nieszczęsnym filozofie... Nietzsche całe życie swe przegrał, krocząc błędnymi ścieżkami... Zbyt późno ta święta prawda — doszła jego „filozoficznego” rozumu i sumienia... Nieszczęsny ten, kto kroczy jego śladami... Chrystus jest prawdą w słowie i czynie!

— Nie zna pan słów Nietzschego, które wypowiedział u schyłku swego żywota: „Otom jest wszystkim tem, co niezna swej drogi”...

— Proszę, niechaj pani przeczyta to, co pani napisała, a co łączy się z moją osobą — pragnąłbym, by pani zdobyła we mnie i człowieka...

— Myli się pan, jeśli sądzi, że mnie na nim specjalnie zależy — podkreślam: dziś, już na człowieku mi nie zależy, na mężczyźnie nigdy nie zależało...

— A... szkoda! — wtrącił, ściągając gniewnie brwi i, prostując się na krześle.

— Pragnę nadmienić, że panu raczej powinno zależać na pozyskaniu mnie, jako jednostki pragnącej służyć idei jego, której, niestety... ster pan trzyma w swej dłoni.

— Mam pani wiele do zawdzięczenia, przynajmniej, że rady i wskazówki pani oddały mi niejednokrotnie wielkie przysługi. — — —

— Tak, lecz to nie wszystko: — winien pan zapamiętać o mnie, to znaczy — nie widzieć we mnie kobiety — — —

— Tego nie mogę pani przyrzec — zanadto podoba mi się pani, jako kobieta...

— Żałuję bardzo... Nie jest pan powołany do wzniosłych czynów — — — Niczego pan nie dokona, zanim się nie wyzbędzie w sobie zwierzęcia... i — to jest to, o czym głównie chciałam dziś z panem mówić — recytowała Joanna, zapalając się coraz bardziej: Jakiś głos wewnętrzny nakazywał mi przelać to... na papier, a gdy wykonałam nakaz — ustawicznie prześladowała mnie myśl, myśl natrętna, bym zakomunikowała panu...

— Jasnowidzenie... wtrącił złośliwie.

— Myślę... że tak! — odparła z westchnieniem i już bez żadnego wstępu, zajmując miejsce przy stole, poczęła

czytać, i o dziwo! w tej chwili zniknął obecny, jeszcze przed chwilą niemiły jej człowiek — a przedstawił się wspaniały obraz, przeżyty tak wyraźnie przed trzema dniami i tem się obecnie cieszyła... Wiedziała, iż przeżywa to sama... ten... nie zrozumie świętej Prawdy... zakurzoną ma duszę, nie uwierzy — gdyż kłamstwem żyje... Czytała, by spełnić nakaz wewnętrznego głosu, bo oto, gdy wypowiedziała ostatnie słowa swej wizji — przemówił:

— Nie mogę zabrać w tem głosu... Nie znam się na tem — nie wiem: czy to jest stuprocentowe złoto, czy stuprocentowe wstawianie w siebie.

— Niechaj pan raczej zostanie przy tem pierwszym — — —

W tem, o czym się pan dowiedział jest stuprocentowa prawda. Nie należy profanować rzeczy świętych, skoro się je nie pojmuje.. Dziwi mnie jednak — wszakże pan jest telepatą, hipnotyzerem, a i nauki tajemne nie są panu obce — — —

— To jest co innego — — — odparł smutnie.

— Tak, ma pan rację: to co innego — powtórzyła Joanna w nieco odmiennej tonacji. Proszę więc mnie posłuchać...

— Cokolwiek zdziałam — będę jedynie sobie zawdzięczała — wtrącił przekornie — cieszy mnie jednak, że pani widzi we mnie wybitnego kompozytora i wierzy w moją przyszłość...

— Małe zastrzeżenie: będę wierzyła, o ile pan się rozstanie ze swym gorszym „ja”... Nie powinien pan tkwić w swych błędach i adorować je... Pan, swoim postępowaniem — sam niweluje dobre poczynania.

— Możliwe...

— Odrzućmy więc teorie Nietzschego i połączmy słowo z czynem... Proszę mi wierzyć, iż nic nie daje tak wielkiego, moralnego zadowolenia, jak mówienie prawdy; a skoro już się raz zakosztuje tej słodyczy — wówczas nigdy pan nie zechce się rozstać z nią... i ujawszy go życzliwie za rękę — odprowadziła ode drzwi, do których już zmierzał — dodała: Proszę zatem posłuchać o swych błędach — — —

— Dzięki niewinnemu napozór kłamstwu — naraził się pan na śmieszność w oczach osób, początkowo dla siebie życzliwych; kłamstwo przypadkowo się wydało

nie i rozszerzenie żołądka, któremu często towarzyszy obniżenie trzewiów czyli enteroptoza (szczegóły w moim artykule w Revista des Ciencias medicas de Barcelona 1898 octubre p. t. „La Enteroptosis sequin Glénard y los autores posteriores”, (por. el Dr. K. Poltowicz).

Jako pokarmy białkowe zwierzęce, w dni postne dopuszczalne są jaja i sery wespół z innymi przetworami mleka a także mięso ryb.

Istnieje kilka gatunków sera, lecz do kuchni używany jest świeży twaróg lub słony ser. Stanowi on łatwo strawne i zdrowe pożywienie. Również dobre są przetwory mleczne, a pośród nich kumys, kefir i joghurt posiadają wysokie walory lecznicze.

Również strawnością odznaczają się jaja, a co do ryb, naogół powinny być one przekładane nad mięso, ponieważ delikatna ich tkanka o wiele łatwiej się trawi i dobrze przyswaja. Unikać należy jednak ryb tłustych, jakimi są np. łososie i węgorze. Przeciwnie, mięso ryb nie tłustych np. pstrąga, jest łatwo strawne.

W świetle powyższych rozważań przynajmniej należy, że post pod kątem widzenia higieny stanowi czynnik bezsprzecznie dodatni, dający możliwość odświeżyć, odnowić chylące się ku upadkowi tkanki, i pośrednio zlikwidować niektóre objawy chorobowe. Jest to potężny wyłom w chińskim murze diabetycznych usterek i higienicznych niedociągnięć.

Dr med. Kazimierz Poltowicz.



i obaj poważni, na wybitnych stanowiskach ludzie — a jednym z nich był pański przyjaciel — wyrazili się o panu: „Ach, Cavalli? — To człowiek niepoważny, jego serjo brać nie można... Nie warto się nim zajmować”...

— Kto to pani powiedział? — zapytał skwapliwie, bynajmniej nie zawstydzony.

— Tego panu nie powiem, lecz mogę ostrzec — kto zaprzestał pana „brać serjo”.

— Znam szereg, wybitnych osobistości, które ud.ło mi się skłonić do zainteresowania się sprawą pana i — niestety, ciż sami obecnie sceptycznie i lekceważąco patrzą na pana i jego poczynania. Powinien pan się nauczyć śmiałego patrzenia ludziom w oczy — ot tak! — tu, ujmując go, po męsku, za ramiona — spojrzała Leonowi w oczy, zdawało się, aż do samego dna jego jestestwa — to posłuży panu, jako antidotum przeciw naleciałościom i obciążaniu sumienia — dodała z mocą, oddalając się od niego.

Chwytał skwapliwie każde Joanny słowo, patrząc przytem na nią z wyrazem tajonej zawiści...

— To mnie interesuje — niechaj pani powie coś jeszcze... to jest ciekawsze od tego, co mi pani przeczytała...

— Myli się pan — to jest ten sam motyw, podany w łatwiejszej formie...

— Zatem, proszę nie pozbawiać się przyjaciół w sposób tak radykalny... Nie zabawiać się frywolną rozmową z pracownikami na terytorjum tak doniosłej pracy — co pociąga takie konsekwencje jak dyskwalifikowanie i dyskredytowanie pana w oczach ludzi, na których bezwzględnie powinno panu zależeć... Potok posłyszanej prawdy kneblował mu usta, zgiął kark coraz niżej — Czuł się zbity, zbity jak pies za popełnione winy, które pragnie zlagodzić skowytem u nóg pana...

— Jestem wdzięczny — wycedził po dłuższej przerwie — bardzo dziękuję pani za uwagi — — — nie wiedziałem o tem — — —

Joanna delikatnie uwolniła swoją dłoń z jego uścisku, wtrącając pośpiesznie:

— Będę rada, gdy czyny potwierdzą skrucę pana...

I oto, ten wielki, wyniosły pan — wyszedł, jak żak poskromiony przez nauczyciela.

Joanna odetchnęła z ulgą, jak po spełnionej myśli: nie rąsji; lecz, w następnej chwili... wkradło się zwątpienie...

Następnego dnia mistrz Cavalli telefonuje:

— Jestem pani niewymownie wdzięczny za dobre rady — już sekretarkę wywaliłem...

Joanna przemilczała tę wiadomość — w duchu jednak zauważyła: — Nie bez winy jesteś, skoroś się tak pośpieszył...

— Pragnąłbym dzisiaj się widzieć z panią — pomimo tego, że jestem tak źle przez panią traktowany...

— Odpowiem panu słowami Krasieńskiego: — Kto się poświęcił dla dobra ludzi powinien o ich sądzie zapomnieć — — — i od siebie dodam: — Najwyższem uduchowieniem jest poznanie prawdy; najwyższem upodleniem trwanie w kłamstwie...

— Pani uduchowienie i przesubtelnienie — nie znajduje się w kompetencji moich wiadomości...

— Myślę, że to nie jest odpowiedni temat do dyskusji telefonicznej — przerwała Joanna

— Musiałbym wpiersz się ogolić...

— Może pan przyjść nawet z długą brodą, bynajmniej nie będzie mi przeszkadzała w roztrząsaniu poważnych zagadnień — — —

— Ale mnie będzie przeszkadzać — nie chcę się pokazywać pięknej kobiecie nieogolony, której się chcę podobać.

— Pan jest niepoprawny — prosiłam pana, by zechciał o mej... fizycznej szacie zapomnieć...

— To nie może nastąpić...

— Posiada pan we mnie w stu procentach oddanego człowieka jego pięknemu dzie'u...

— Wolałbym, by pani była w stu procentach oddaną mi — kobietą...

— Myślę, że dla organizatora poważnej instytucji to pierwsze powinno być ważniejsze od uwodzenia mnie?!... zawołała Joanna w słuchawkę już silnie poirytowana.

— Skoro pani niechce istnieć dla mnie, jako kobieta — nie mogę i — niechcę uznać w pani człowieka...

— Wobec takiego meritum — dyskwalifikuje się pan w mych oczach łącznie ze swą kandydaturą na stanowisko jakie pan sobie obrał i chce w najbliższej przyszłości zająć...

— Tu — w zamian odpowiedzi usłyszała Joanna dwukrotne nawoływanie: — Rex! Rex i — cisza... zapewne mu pies uciekł — odłożyła więc słuchawkę, drżąc z gniewu i oburzenia. — To już był terror... Wiedział, że Joannie zależy na nowo organizowanej przez niego instytucji, dla której położyła już wielkie zasługi — przeto, trzymał ją, niejako na uwięzi — — — Joanna, natomiast — wiedziała, iż, jeśli się wycofa — wszystkie dotychczasowe jej wysiłki — pójdą na marne... Szukała prawego wyjścia z sytuacji... Wiele myślała nad tem... Wkońcu zdecydowała jeszcze raz uderzyć w jego upór i oschłość rozumowania:

— Panie! — pisała. — Już czas najwyższy, by zrozumiał pan, iż może nas łączyć jedynie idea, której pomyslnie realizowanie się, w wielu okolicznościach — było refleksem mych myśli i wskazówek — a co dotychczas stanowi naszą tajemnicę... Zawsze usiłuje pan o tem zapomnieć — dzieło jeszcze nie skończone... Powinien pan wreszcie swoją fałszywą ambicję i pychę poskromić, a twórczość na tem zyska... Najwyższy też czas zalegaliżować mój udział...

I w postępowaniu pana rysuje się wyraźnie jego pan-teizm — zapomina pan, że prawdziwą mądrością — jest poznanie prawdziwego Boga, który w Swej wielkiej pobłażliwości okazał panu dobroć, zsyłając promień nadziei — — — Nie powinien Pan przytem zapominać, iż mnie objawione były Jego przyszłe losy, których dodatni kierunek — zależy jest jedynie — od odpowiedniego ustosunkowania się wobec mojej skromnej osoby...

Takie bowiem jest prawo życia: iż — nieodpowiednio skierowany pocisk — nieubłaganie godzi w nas samych — — —

Joanna

Następnego dnia Joanna czytała — — — czytała w dzienniku słowa znajome, żywe, jakby wyjęte z jej mózgu i serca a — podpisane inicjałami Leona Cavalli...

Płagjat — czy uznanie?... Płagjat, Joanna mu wybacz — na uznaniu jej nie zależy... Zależy jej, by osiągnęła korzyść, twórczość i budowa — — — By, nie obaliła w się dłoniach człowieka zarozumiałego, zbyt pewnego własnej siły, złej siły, która jest tak krucha, jak kamień — w piasku — — — Był zachłannym egoistą, rabującym nietylko pracę bliźnich, lecz i myśli — myśli twórcze; — nie chcąc znać potem tych, by tem pewniej przywłaszczać sobie wszystkie ich wysiłki — — —

— „Jeśli pani niechce być dla mnie kobietą — niechcę znać w pani człowieka”... Nie dokończył zdania: — bo pani już mi nie jest potrzebną: — już wszystko wyssałem z twego mózgu, co mi potrzebnem było i liczyłem tyłko jeszcze na ciebie, siebie samą: — przecież to mi się słusnie należy... „Ja” — piękny, genialny, któremu dotychczas żadna kobieta się nie oparła — — — lecz... tyś



jedna niedościgniona — ciebie jednej zdobyć nie potrafię.. ciebie jednej — — — i już jestem zmęczony, znużony walką... pozatem, nie posiadam wiele wolnego czasu — rezygnuję więc, ciesząc się zyskiem natury moralnej”...

Joanna nie otrzymała odpowiedzi na swój ostatni list; nie spodziewała się nawet.. Wie, że duchowe pierwiastki są mu obce — jakiejże treści tedy miała być owa odpowiedź?... Czuła przytem, że się już... już coś, dokonało coś, co, musiało się spełnić... Odczuwa'a silny ucisk pod czaszką, a w płucach brak powietrza. — Przeszła kilkakrotnie wzdłuż pokoju i automatycznie poczęła się ubierać ku wyjściu. — Zbiegła prawie ze schodów drugiego piętra, nie wiedząc, w którą stronę iść dalej. Bez namysłu poszła na lewo, wzdłuż ul. Kruczej w kierunku Aleji Jerozolimskich... Szła, jakby zahipnotyzowana, nie wiedząc dlaczego właściwie idzie w tym, a nie innym, kierunku?... W oddaleniu kilkudziesięciu kroków ujrzała zbitą grupę ludzi, zas'aniającą wielki, osobowy autobus... Nigdy nie lubiła tłoku... Brzydziła się zwykłym tłumem gapiów, ciekawych i żądnych taniej sensacji; nie zatrzymując się więc i, nie przechodząc na drugą stronę ulicy — poszła wolnym, automatycznym krokiem ku Alejom Ujazdowskim — — — Tam, szła stroną mniej uczęszczaną przez spacerowiczów — zwłaszcza tego dnia nie mogła znieść widoku ludzi — — — Nie myślała prawie o niczem, — niczem, coby mogło przybrać jakiś kształt obrazu... Potem, zapatrzona w dal, idąc, myślała o nim... Lecz to już nie był on... W wyobraźni Joanny było coś poszarpanego, zamglonego... coś, co nie mogło się sformułować w realną całość. — Usiadła — bardziej znużona, aniżeli zmęczona na ławce, przy końcu Aleji... Zapatrzyła się w wierzchołek wysokiej topoli i — tam... wśród zielonych listeczków, w igrających, złocistych promieniach słońca — był on... Co to znaczy?... Tyle smutku w jego twarzy, skierowanej wprost ku siedzącej w pobliżu Joannie — tyle bólu, prosby...

O... a teraz płyną dwa strumienie łez wzdłuż jego policzków — czemu on płacze? Czy on potrafi płakać?... Dotychczas jedynie się śmiał — — — nie, nie śmiechem radosnym, zdrowym — nie, śmiał się przeważnie szyderczo, a raz... nigdy nie zapomni tego szatańskiego, gromkiego: — „Ha! Ha! Ha!” Cieszył się, że — udało mu się oszukać, wyzyskać naiwność idealnych, łatwowiernych ludzi i oto — ma wypchane kieszenie złotem... A... teraz płacze?... — rozmyślała Joanna. — O, jak mi go żal — — — Po chwili widziała siebie, z białą, pachnącą chustą w dłoni, ocierającą niepohamowane strumienie cierpienia i żalu — bólu i żalu rzewnego, błagającego o przebaczenie — ...Jakiś przystojny młodzieniec usiadł na ławce obok, przyglądając się Joannie ciekawie — to ją obudziło ze stanu odrętwienia, szybko spojrziała na zegareczek przy swej dłoni — przeszło dwie godziny to trwało — zerwała się i wskoczyła do nadchodzącego w tej chwili tramwaju.

— Dokąd ja jadę? — pomyślała, wręczając konduktorowi pieniądze za bilet. Mijała poprzeczne ulice: — pierwszą, drugą, dziesiątą — przy niektórych tramwaj się zatrzymywał, to znów ruszał — wreszcie zatrzymał się na dłużej: — to kondukt pogrzebowy ciągnął, — wysiadła więc: — nie mogła w tej chwili znieść smutnej monotonii w tym pochodzie... Przeszła na drugą stronę ulicy — mimowoli spojrziała na cyfrę — 13, umieszczoną po prawej stronie bramy... To jest dom, w którym mieszka Danuta?... Dobrze więc, odwiedzę ją — — — Poczęła powoli się wspinać po schodach, lecz oto — o kilka stopni wyżej idzie ona...

— Dobrze, że zastaję ciebie! — zawołała Joanna do otwierającej drzwi swego mieszkania.

— Ach, Joanno! Joanno! — poczęła lamentować, zanim weszły do wnętrza pokoju — nie wiesz co się stało, — widzisz, jak jestem zmieniona?... Właśnie... wracam teraz... — Ale ty się niczego nie domyślasz? — spytała nagle, osuwając się z ulgą na kanapę.

— Z tego chaosu słów — istotnie — niczego — odparła Joanna, zajmując wskazany sobie fotel i równocześnie spłynęła jej wszystka krew do serca...

— Nie wyobrażasz sobie, co za dziwne zrządzenie losu: — Przed, jakimi trzema godzinami — jechałam autobusem w stronę Alej... nagle usłyszałam krzyk męskiego głosu, krzyk przerażonego człowieka, jakoby wpadającego pod koła autobusu: usiłował zapewne go minąć... — Nie przerażaj się, — b'agała — to był ten... ten, zakochany w tobie kompozytor!... — prawie z krzykiem wyrzuciła Danuta.

Joanna, prostując się na krześle, z zapartym oddechem jedynie zacisnęła mocno dłonie, wbijając w nie ostre paznokcie aż do bólu — — —

— Sprowadziłam karetkę Pogotowia — ciągnęła gorączkowo — i samochodem udałam się za nim... Sumienie mi nakazywało jechać — myślałam o tobie... Żył jeszcze i był przytomny; ucieszył się, gdy mnie zobaczył — wyciągając dłoń zapytał o ciebie... — Miał złamaną nogę i potłuczoną głowę — mówiła, ściągając boleśnie piękne czoło. — Prosił, bym powtórzyła jego żal i skruczę za tyle wyrządzonych tobie przykrości... — Powiedział, iż jesteś aniołem, którego on w swem zaślepieniu własnego „ja” nie mógł zrozumieć — że, oto, na łożu śmierci błaga o przebaczenie, dobrej, wspaniałomyślniej Joanny... prosi o przebaczenie za zranienie jej duszy — nadkobietę, bowiem nie danem mu było pojąć labiryntu wielkiego ducha Joanny... — „I teraz — mówił, niemal z każdym słowem, bardziej słabnącym głosem — wyznaję, że... że, niejako odczuwałem zawiść. — — — Zazdrościłem jej Bóstwa i — — — dlatego lekceważyłem Je”... „Pani to rozumie”... zwrócił się ku mnie, mając przesłonięte oczy i po chwili trysnęły z nich strugi łez...

Joanna słuchała z zapartym oddechem — o nerwach naprężonych, naciągniętych, jak struny: — zda się i serce jej zamarło — nie mogła, jakiegobądź słowa wydobyć, na które Danuta, niepokojąco patrząc na nią — czekała; po chwili ciągnęła dalej, chodząc niespokojnie we wszystkich kierunkach salonu...

— Poczem, jakby zapominając o mej obecności — uniósł się na swem posłaniu i wyciągnawszy obie ręce ku górze — cedził urywane zdania: „Witaj — — — święta... przyszłaś... przebaczyłaś dobra... Chciałaś... tak... Wiem... wiem — CHRYSZTUS: — — — Uleczyłaś!... Och! Za — — — późno!” — krzykną rozpaczliwie — W tej chwili wypłynęła z pod bandaży głowy fala jasnej krwi — opadł na poduszki z wykrzywioną bólem twarzą i... Tu — Danuta wymownie, z wyrazem bólu przymknęła oczy, nie mając sił do wypowiedzenia strasznej prawdy.

Joanna, szeroko rozwartemi oczami wyrażała całą gamę potężnych uczuć, — dopiero teraz wydała gwałtowny i spazmatyczny oddech; równocześnie odrzucając głowę na poręcz krzesła — zacisnęła silnie d'onie i powieki, spod których trysnęły — dwie ogromne łzy — — — Łzy bólu i radości. Bo, oto — choć przez śmierć lecz jeszcze jedną zbląkaną owieczkę skierowała ku Wielkiemu Pasterzowi...

Danuta w niemem uwielbieniu — obsunęła się na kolana u stóp Joanny, kryjąc wilgotne policzki w fałdach sukni przyjaciółki.





# NA FALACH CZASU

## Z TEATRU

Utwory Aleksandra hr. Fredry z biegiem lat nie tracą ani swego znaczenia, ani swoistego wdzięku. Wciąż są interesujące i wciąż po swojemu aktualne. Dzieje się to dlatego, że autor umiał podkreślić i uwydatnić w bohaterach swych sztuk cechy ogólnoludzkie, nieprzemijające. Zmienia się w życiu tylko tło akcji, zmieniają się ludzie, ale istota rzeczy pozostaje ta sama.

„Wielki człowiek do małych interesów“, grany obecnie w Teatrze Narodowym, napisany został w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia, po powstaniu styczniowym. Jest historią ze stosunków lwowskich i wogóle wschodnio-galicyskich. Ale, powiedzmy sobie prawdę w oczy, czy obecnie wśród nas, chociażby np. w Warszawie, nie grają różni usłużni Jenialkiewicze, czy nie imponują pewnością siebie, czy proszeni i nieproszeni nie śpieszą bliźnim z radami i nie powtarzają swym ofiarom z uśmiechem jowialnym na ustach: „Spuść się na mnie“.

Gorzej nawet, ci „wielcy ludzie“ zaczynają nawet zabierać się naprawdę do „wielkich interesów“ z wiadomym, oczywiście, skutkiem.

Czasy dzisiejsze, to okres sprzyjający rozkwitowi talentów Jenialkiewiczów. Dzisiejszy Jenialkiewicz potrafi łatwo znaleźć dla siebie ofiarę w postaci uwspółcześionych Dolskich, czy jak się tam będą nazywali. Nie często może napotka tylko na swoją Matyldę, korzystając z jego rad, ale w kierunku wręcz odwrotnym. Tak, jak przysłowiowy Arab z rad swojej żony.

Sztuka wystawiona jest w reżyserji p. Zelwerowicza, który jednakże obszedł się z dziełem Fredry bez sentymentu, po swojemu. Przedewszystkiem, niewiadomo dlaczego, cofnął samą akcję, nie licząc się z tekstem, o jakie trzydzieści lat wstecz. Poubierał aktorów w fantastyczne kostjummy, nie mające nic wspólnego z właściwą epoką „Wielkiego człowieka do małych interesów“. Żółty cylinder, w którym paraduje Matylda, ekscentrycznością swą przewyższa wszystko inne.

Odpowiednio do kostjumów postąpiono sobie i z dekoracjami, które, wbrew realistycznym niewątpliwie intencjom Fredry, — wyglądają wprost bajkowo.

Rolę Jenialkiewicza grał p. Zelwerowicz, niewiadomo znowu z jakiego powodu ucharakteryzowany „na Ibsena“. Postąpił on z tekstem fredrowskim tak samo

jak z kostjumami i dekoracjami. Poprawił autora według własnych upodobań, stosując różne wtręty i przeinaczenia. Ale, przyznać trzeba, że grał po mistrzowsku. Jest to wogóle aktor pierwszorzędnny.

P. Maszyński, niewiedzieć czy to z własnej intencji, czy też z woli reżysera, z postaci Dolskiego uczynił nieprawdopodobnie groteskowego manekina. Stanowczo Dolski taki głupi nie był.

P. Frietsche, jako Ignacy, był w sztuce jedyną zdaje się postacią, ujętą prawdziwie po fredrowsku. Inni artyści jakoś nie odczuwali fredrowskiego stylu, choć gra p. Sawana jest naogół poprawna.

Role żeńskie miały wdzięczne wykonawczynie w osobach pp. Smosarskiej (Matylda) i Barszczewskiej (Aniela).

Całość „Wielkiego człowieka do małych interesów“ wypadła żywo i barwnie, była jednakże dość daleka od klasycznego ujęcia sztuk fredrowskich.

Widocznie dziś już nie tak łatwo zrozumieć Fredrę. Nie każdy aktor to potrafi, a wreszcie wśród widzów czy tak wielu pamięta dawniejszych odtwórców dzieł starożytnego Fredry?

\* \* \*

Na scenie Teatru Letniego znalazła się również rzecz z repertuaru przeszłości: „Piękna Helena“ Offenbacha, bez wszelkich przytem dodatków jazzbandowych — taka, jaką pozostawił nam jej twórca.

Warszawa przepadała dawniej za operetką. Operetka „Syreniego grodu“ cieszyła się sławą i uchodziła za drugą po słynnej wiedeńskiej. Rozporządzała też zawsze pierwszorzędnymi siłami. Któż nie pamięta Messalówny, Redo i in.

Operetkę naszą zgnębiła i zniszczyła publiczność powojenna, która nie odznaczała się ani muzykalnością ani wyrobieniem smaku artystycznego. Bardziej przypadły jej do gustu rewje i dowcipy szmoncesowe w teatrzykach, niżli „wesola opera“. Próby wskrzeszenia operetki nie miały jakoś powodzenia. Przeważało nawet zdanie, że ten rodzaj widowisk i tego rodzaju muzyka już się przeżyły.

Okazało się jednak, że takie sądy były błędne. Teatr Letni, wystawiając „Piękną Helenę“, nie zrobił złego interesu. Gusty publiczności zmieniły się wyraźnie na lepsze. Warszawa tłumnie śpieszy oglądać utwór Offenbacha, od dziesięciu, zdaje się, lat, — spoczywającego w archiwum... Trzeba wziąć pod uwagę i tę okoliczność, że Teatr Letni, pozostawiając muzykę Offenbacha w czystości — zmodernizował całkowicie tekst operetki.

Pracę wykonał p. M. Hemar w sposób pomysłowy i dowcipny, ze sporą dozłą-



„Wielki człowiek do małych interesów“, pp.: Barszczewska, Pawłowski i Smosarska.



śliwości, skierowanej i w stronę stosunków politycznych i w kierunku naszej elity literackiej. Bawi to publiczność.

Dekoracje i kostjумы, są wprawdzie jakąś mieszaniną klasycyzmu greckiego z dziwactwami doby dzisiejszej, ale są barwne i nierażące. Wbrew tradycji stroje p. Modzelewskiej, jako pięknej Heleny, są niemal strojami westalki. Jest to mała inowacja.

Niestety „Piękna Helena“ w interpretacji sił zespołu T. K. Sz. T. w Polsce — ma swoje „ale“. Może nigdy sztuka ta nie była tak świetnie grana w Warszawie, lecz bez śpiewaków. Tylko partja Parysa obsadzona była niezgorzej, o ile chodzi o głos wykonawcy.

Gra i recytacja śpiewana — musiały zastąpić śpiew.

Na czoło wykonawców wysuwali się poza p. Modzelewską, Dymśza jako Kaldzas, Zelichowska, jako Orest, Orwid, jako Melnelaus i Kurnatowicz — Achilles.

Chociaż operetka była wyreżyserowana przez p. Hemara starannie — to jednakże dawała się zauważyć rozbieżność w sposobie gry przez różnych artystów. Jedni zachowywali tempo ściśle komedjowe, drudzy uderzali w ton wyraźnie fałszywy, jak np. p. Kurnatowicz. Ostatecznie nie było to czemś zbyt rażącym.

Autor nowego libretto, p. Hemar, nie umiał zachować umiaru w swem dowcipkowaniu i parę razy pozwolił sobie na poruszanie złośliwe tematów niestosownych. Tak drwił sobie z hasła „świętości nie szargać“ i z nadmiernej, jego zdaniem, płodności... Greków. Zapewne, że nie o Greków tu autorowi chodziło... Przypomniało to zresztą i ten szczegół, że p. Hemar nie jest „Grekim“, a tylko cokolwiek „zhelenizowanym“, który przy sposobności, pisząc o „Pięknej Helenie“ na łamach miesięcznika „Teatr“, nie omieszkał zaznaczyć, kim właściwie był i Offenbach, „ten niemiecki romantyk we francuskim szlifie, wyrosły z dalekich korzeni żydowskiej ironicznej melancholji, że to jak Charlie Chaplin. Pierwszy Charlie Chaplin — muzyki“.

P. Hemar chce być Charlie Chaplinem piosenki kabaretowej i kupletów operetkowych... Bo tak samo jak Offenbach i Chaplin z jednego się pnia wywodzi.

W każdym razie „Piękna Helena“ przypomniła Warszawie dawne czasy i zwróciła uwagę na zapomniane melodie operetkowe, które warto z pyłu zapomnienia od czasu do czasu wygrzebywać.

LR.

## Z PIŚMIENICTWA

Nagrodę młodych Polskiej Akademji Literatury zdobył Jalu (Franciszek) Kurek — autor szeregu tomów wierszy i powieści. Kurek, urodzony w r. 1904, debutował tomem wierszy „Upały“ w r. 1925, w latach 1931—1933 redagował awangardowy miesięcznik literacki „Linja“, w r. 1933 uzyskał odznaczenie za powieść „Mount Everest“, a przed paroma miesiącami wydał powieść „Grypa szaleje w Naprawie“, której pierwszy nakład rozszedł się natychmiast, wywołując potrzebę drugiego wydania. „Grypa szaleje w Naprawie“ — powieść o zakroju reportażowym. Bohaterem jej są nie poszczególni ludzie, ale wieś podhalańska z całą jej nędzą i biedą w r. 1914. „Poezja wakacyjna wykołysała zachwyty mieszczuchów nad wsią — brzmią

„Piękna Helena“ na scenie Teatru Letniego. — Turniej humorystów.



słowa Kurka — Cóż dla nich znaczy wieś? Wiosną — kwiaty, latem — borówki i mleko kwaśne, jesienią — śliwki i grzyby, zimą — nic, najwyżej choinka na Boże Narodzenie. A tu tyle zmartwienia i bóla przelewa się w jednym dniu na przestrzeni jednej chałupy!“ Mnie Kurek daje jednostronny obraz, możnaby mu wytykać dysproporcje tak w kompozycji powieści, jak w rozkładzie akcentów uczuciowych, zaznaczyć jednak trzeba, że nawet Gol-

ding — autor angielskiej powieści o podobnym bohaterze — „Ulicy Magnoljowej“ nie potrafił również utrzymać proporcjonalności nastrojów. Zato bezsprzeczną zaletą nowej powieści Kurka pozostaną ciekawe usiłowania stylistyczne i każą spodziewać się po Kurku rzeczy dojrzałych i wartościowszych. Nie jest to już tylko ciągle zapowiadający się talent, ale żeby było, gdyby Kurek poprzestał na tem wyłącznie, co zdołał do tej pory osiągnąć.



Państwowa nagroda literacka przypada w tym roku znanej poetce Kazimierze Hlakowiczównie. Jury umotywoowało tę decyzję „bogata oryginalnością jej twórczości lirycznej, bogatą skalą motywów twórczości oraz wydatnym z bogaceniem form metrycznych“. Twórczość Hlakowiczówny jest obfita zarówno w dzieła oryginalnym, jak w dzieła przekładów. Po „Ikarowych lotach“ z r. 1912 nastąpił szereg innych tomów, zdobywając autorce popularność nie tylko w kraju, ale i w innych krajach słowiańskich, zwłaszcza w Czechosłowacji. Jeśli chodzi o stanowisko filozoficzne Hlakowiczówny, to w jednym z wywiadów oświadczyła: „Jestem przeciwna każdej teorii, która każe nienawidzić. Jestem bardzo wierzącą katoliczką“.

„Krzyżacy“ po francusku. W przekładzie hr. de France de Tersanta ukazało się dwutomowe wydanie „Krzyżaków“ Sienkiewicza. Jest to już trzeci przekład tej powieści na język francuski. Dwa pierwsze dokonane były przez Polaków i odznaczały się wręcz skandaliczną francuszczyzną, co tym razem zostało pokonane w zupełności. Nad wiernością przekładu czuwał dr. Teslar — redaktor kolekcji polskiej, w której wydano „Krzyżaków“.

Dwuchsetlecie urodzin Krasickiego. Dnia 3 lutego r. b. minęło dwieście lat od urodzin najsubtelniejszego satyryka i bajkopisarza polskiego — Ignacego Krasickiego, który swe utwory skrywał pod skromne trzy litery: X. B. W. (Xiążę Biskup Warmijski). Krasicki jest obok Skargi największym pisarzem w sutannie, choć inny jest ciężar gatunkowy jego twórczości. Są wprawdzie w spuściźnie po Krasickim kazania, lecz trzeba specjalnego amatora, żeby do nich dziś zaglądał. Cała sława Krasickiego opiera się na satyrach i bajkach, gdzie daje się poznać jako pisarz wielce wytworny, błyskotliwy jak rzadko. Ta wytworność jedna mu też dostojnych przyjaciół w życiu towarzyskim. Stanisław August Poniatowski mianował go dla tych zalet swoim kapelanem, jako dwudziestoparoletni człowiek był już Krasicki biskupem warmijskim, co mu zapewniało dochody, miejsce w senacie i tytuł księcia (hrabiowski dziedziczył po ojcu), umarł wreszcie w r. 1801 jako arcybiskup gnieźnieński. Szczęście nie opuszczało go nigdy. Miał swych sympatyków za życia, ma ich



Jalu Kurek.

i po śmierci. Nie szuka się coprawda u niego pouczeń i wskazań politycznych na dziś, jednak znajduje on wierniejszych czytelników dlatego, że niesie im rozrywkę, przyodzianą w kształt pięknego słowa.

## Z POLITYKI

### Pakt w londyńskiej mgle.

Nigdy niewiadomo, co się ludziom podoba, z czego się będą cieszyć. Sprawdziło się to w związku z układem londyńskim. Najwięcej zadowolenia wywołał on bowiem w Paryżu. Zarówno prasa, jak ulica a również i parlament jednomyślnie wyraziły uznanie dla Flandria i Laval. Tymczasem układ londyński jest właściwie „delikatnym“ przekreśleniem szeregu postulatów, które Francja od szeregu lat uparcie wystawiała przeciw Niemcom. Mamy tu na myśli przede wszystkim kwestję zbrojeń. Teza francuska brzmiała zawsze ma-

ximalnie: najpierw rozbrojenie, potem bezpieczeństwo. Niemcy natomiast głosiły, że rozbrojenie powszechne może nastąpić w atmosferze powszechnego bezpieczeństwa. Francja kontynuowała: nie może być poczucia bezpieczeństwa wśród narodów uzbrojonych po same zęby. Ten niezgrany duet, oparty na krańcowych przeciwnościach, trwał lat kilkanaście. Aż wreszcie załamał się w Londynie. I Francja jest przytem zadowolona z tego. Zadowolona jest z uznania zbrojeń niemieckich. Na czemże opiera swą radość? Na pewnych dalszych klauzulach układu, dotyczących międzynarodowej pomocy lotniczej na wypadek agresji? Liga Narodów otrzymała coś w rodzaju latającej milicji. Kwestja groźby napadu lotniczego niepokoiła oddawna ludzi Zachodu. Ogromny postęp techniczny lotnictwa postawił pod znakiem zapytania bezpieczeństwo najdalszych nawet zakątków, nie mówiąc już o takich centrach, jak Paryż i Londyn. Po ostatnim próbnym ataku lotniczym na Londyn, w parlamencie angielskim dały się słyszeć nieomal jermjady na temat zagrożenia stolicy brytyjskiej od strony powietrza. Okazuje się, że nie istnieje właściwie zabezpieczenie przed nalotem nieprzyjacielskiej flotyli. Wobec tego, postanowiono je należeć w papierowym układzie lot-



Kazimiera Hlakowiczówna.

niczym. Jeśli nie dać co bezpieczeństwa, to w każdym razie uspokoi sumienia. A dyplomaci lubią mieć spokojne sumienia, więc poszukają rozwiązań choćby tylko poroznych. Jednym z takich pożądanym rozwiązań, będącym przedmiotem dyplomatycznych nadziei, jest wzgląd na powrót Niemiec do Ligi Narodów.

### Polska w polityce.

Polska stała się ośrodkiem zabiegów politycznych. Trudno bez niej jakoś pomyśleć realizację pokoju światowego. A był czas, że chciano to bez niej i na jej koszt zrobić. Dziś jednak dyplomacja europejska zabiega o nas. Zbiegło się to z faktem poprawienia się naszych stosunków z Rzeszą. Gdy się kłóciliśmy z Niemcami, nikt się tem nie wzruszał. Przeciwnie oddawano nas na ich pastwę. Dziś, gdy doszliśmy do jakiejś zgody, zaczynają koło nas tańczyć. A to zapraszają nas do paktu naddunajskiego, a to nagabują o pakt wschodni. A prasa zagraniczna błędnie i zielonieje, pisząc o wizytach niemieckich. Po Goebbelsie, Goering, polując w Białowieży. Od tego, ile zabił rysy czy dzików, ważniejsze wydaje się, na ile Polaków ku sobie pociągnął.



P. Prezydent R. P. i premier Prus, p. Goering, udają się na polowanie do lasów białowieskich.



# Dział Kobiety

DLA DUSZY.

*Daj mi, o Panie! mądrość niebieską, ażebym się nauczył Ciebie nadewszystko szukać i znaleźć, Ciebie nadewszystko kochać, rozumieć i cenić; a wszystkie rzeczy tak pojmować, jako są podług porządku mądrości Twojej.*

*Daj mi roztropność do unikania pochlebców, daj cierpliwość do znoszenia prześladowców.*

*Zaiste, wielka to mądrość, nie dać się zachwiać powiewem słów i nie podawać ucha zdradliwemu pochlebstwu: i ten to jest sposób bezpiecznego postępowania zaczęta droga.*

**Tomasz à Kempis.**

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

## KURS WIADOMOŚCI O MORZU POLSKIM DLA POLAKÓW STUDENTÓW Z ZAGRANICY

Kolegium Międzynarodowych Wykładów Akademickich im. Marszałka J. Piłsudskiego w Gdyni urządziło w Warszawie, w lokalu Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, specjalny kurs podstawowych wiadomości o Morzu Polskim dla Polaków studentów z zagranicy, przebywających na studjach w Warszawie. Uroczysta inauguracja Kursu odbyła się w dniu 24 stycznia r. b., a złożyły się na nią: przemówienie Rektora Kolegium i zarazem kierownika kursu, prof. dra Tadeusza Hilarowicza, zastępcy dyrektora Światowego Związku Polaków z Zagranicy, p. kpt. Kawalca, przedstawiciela Akademickiego Związku Morskiego, p. Przemysław Wodzinowski, tudzież przedstawicieli Młodzieży Polskiej z zagranicy pp. Dwankowskiego z Ameryki Północnej i Sanickiego z Rumunii. Po inauguracji odbyły się 2 pierwsze wykłady, a mianowicie prezesa Zarządu Głównego Ligi i Morskiej i Kolonjalnej, inspektora armji, gen.-dyw. Gustawa Orlicza-Dreszera: O polskiej idei morskiej i wiceprezesa Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonjalnej, b. wicemarszałka Sejmu p. Jana Dębskiego: O organizacji i działalności Ligi Morskiej i Kolonjalnej.

W uroczystości inauguracyjnej wzięli udział m. in. przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych pp. kpt. Cybulski i radca Kościalkowski, z Ministerstwa W. R. i O. P. p. dr. Zdrojewski, szef sztabu Marynarki Wojennej komandor Korytowski i inni.

Następne wykłady wygłosili na Kursie pp.: prof. Uniwersytetu Warszawskiego, dr. Stanisław Poniatow-

ski: O etnografji Pomorza, szef Sztabu Marynarki Wojennej komandor Karol Korytowski: O polskiej marynarce wojennej, prof. Politechniki Warszawskiej dr. Lech Niemojewski: O urządzeniu nowych polskich statków „Piłsudski“ i „Batory“, członek Rady Głównej L. M. i Kol. Stanisław Załewski: O porcie w Gdańsku i Naczelnik Wydziału Rybołówstwa Ministerstwa Przemysłu i Handlu p. Franciszek-Edward Lubecki: O polskim rybołówstwie morskim (z obrazami świetlnymi).

Na wykłady uczęszczali, oprócz uczestników Kursu wiedzy o Polsce przy W. W. P., także inni Polacy-studenci z zagranicy, przebywający na studjach w Warszawie z następujących krajów: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Kanada, Czechosłowacja, Jugosławia, Francja, Litwa, Łotwa, oraz Australja. Nadto przysłuchiwali się wykładom członkowie Akademickiego Związku Morskiego i uczestnicy odbywającego się w Warszawie kursu dla pracowników samorządowych z terenu całej Polski i grono pań, członkiń „Oddziału Kobiet“ L. M. i K.

Program Kursu obejmuje jeszcze wykłady: O porcie w Gdyni i o polskiej marynarce handlowej.

Protectorat nad całym kursem objął inspektor armji gen.-dyw. Gustaw Orlicz-Dreszer.

Świetna inicjatywa musi dać dobre rezultaty, bo natchnęła je miłość dla Morza. Młode słuchaczki i słuchacze kursów, będą niezawodnie ambasadorami naszej sprawy wśród obcych, spędzając wśród nas, jak nam to mówią, „niezapomniane chwile“.

R.

## PROJEKT UTWORZENIA KOŁA PRZYJACIÓŁ „RODZINY POLSKIEJ“

Redakcja „Działu Kobięcego „Rodziny Polskiej“ otrzymała zaszczytne pismo od p. prof. dr. T. Hilarowicza, którem, pełna radości, dzieli się ze swemi Czytelniczkami.

Do Szanownej Redakcji Działu Kobięcego „Rodziny Polskiej“ w Warszawie. S. p. Matka moja, Józefowa Hilarowiczowa, która w „Rodzinie Polskiej“ umieszczała też swoje artykuły, w jednym z ostatnich listów, pisanych do mnie w dniu 24-go stycznia 1933 r. (zmarła w dniu 1 lutego 1933 r.), pisała, co następuje: „Może poruszyś w Redakcji „Rodziny Polskiej“ sprawę utworzenia Koła Przyjaciół „Rodziny Polskiej“. Powstaje tyle organizacji, jak: „Rodzina Wojskowa“, „Ro-

dzina Urzędnicza“, „Rodzina Policyjna“ i t. d. Czy nie możnaby pomyśleć o utworzeniu Koła czy Stowarzyszenia Przyjaciół Pisma „Rodzina Polska“, któreby się zajęło sprawami, dotyczącymi rodziny polskiej jako takiej?“

Po rozmowie z p. redaktorką, Lucyną Kotarbińską, uważam za swój obowiązek zakomunikować czytelniczkom i czytelnikom „Rodziny Polskiej“ tę myśl mojej ś. p. Matki, celem wzięcia jej pod rozwagę.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Prof. dr. T. Hilarowicz

ul. Łowicka 51, m. 43.

Warszawa, dnia 7 lutego 1935 r.



## „PISZMY DO POLAKÓW NA OBCYZYŃNIE”

P. Marja Więckowska doskonałą wydała książeczkę, której cała treść polega na dokumentowaniu ważności bezpośredniego porozumiewania się z tymi rodakami, których los rozrzucił po świecie, często daleko, bardzo daleko, od granic ziemi ojczystej.

Zjazd Polaków z zagranicy, zjazd, wśród którego spotkaliśmy przedstawicieli związków i ugrupowań polskich, ze wszystkich niemal części świata. Zjazd, który zaświadczył o niewyczerpanych poczuciach narodowych w tych, którzy je reprezentowali — powinien nas pouczyć, że wielkie skarby w tych ludziach, ich rodzinach, ich wreszcie stanowiskach, jakie potrafili zdobyć na obczyźnie, że to wszystko razem stanowi dobro potrzebujące stałej z naszej strony czujności, stałego z nimi kontaktu, stałego okazywania jak wielce ich cenimy i jak bardzo rozumimy ich dla nas wartość.

Podczas Zjazdu, pisząca te słowa, bo miała szczęście przyjąć w swym domu dwadzieścia kilka osób na popołudniowej herbatce. Chętnie byłaby ich przyjmowała i więcej, ale czas był wypełniony obfitym programem po brzegi. Więc tylko kradziona chwilka...

Ileż to poruszyło się tematów, ile przesunęło myśli, jak bardzo nas te parę godzin przebytych w domu rodzinnym — zbliżyło. Wprost niezapomniane chwile. Jedne kobiety były z Francji, inne z Ameryki; ktoś z Niemiec, inny z Belgji, z Norwegji, prof. Sobieniowski, z uniwersytetu z Nowego Jorku i p. Herman Fiszer, który nam opowiadał, że kiedy zapytał swe córeczki, Jadwinę i Genię — co im ma przywieźć z polski — powiedziały:

**Ziemi polskiej!**

Czy to można zapomnieć, czy nie należy takiej chwilowo zawartej znajomości piełgnować!

To też zaproszone na tę herbatkę panie z L. M. K. odbierają dziś karty z Detroit w Ameryce, z Mont Luçon we Francji, ze Stockholmu, i wiełu innych miejscowości,

świadczących o chętniej pamięci tych, którzy zdaleka, tylko myślą mogą się do nas przenosić.

Do kogo pisać? Autorka książeczki p. t. „Piszmy do Polaków na obczyźnie” (Nakład Naszej Księgarni. Sp. Akc. Zw. Nauczycielstwa polskiego. Warszawa 1935) daje na to pytanie odpowiedź na tytułowej karcie, zatytułowanej: „Każdy Polak na obczyźnie ma swego przyjaciela w kraju”.

Otóż tak jest niezawodnie. Każdy z nas, ma znajomych zagranicą. I na napisanie, choćby kilka razy do roku — małej kartki — czas znaleźć się powinien.

Autorka opowiada nam o zorganizowanych już szkołach, z których systematycznie odbywa się korespondencja do dzieci szkół na obczyźnie.

Zwraca uwagę na dobrodziejstwo wieści z kraju dla tych niemal wszystkich, którzy za nim tęsknią. Podaje sposoby okazywania dobrej pamięci — posyłania pism, książek, życzeń świątecznych, drobnych własnych robótek w upominkach. Cytuje listy dzieci ze szkół zagranicznych — przysyłane do dzieci szkół polskich. Podaje nawet opis tematów — ogólnie interesujących. Słowem, każdy, komu nie obca liczba 8.000.000 — tak, ośmiu milionów Polaków, rozsypanych jak piasek morza — po ziemiach wielkiego świata, niech pamięta, że nie ginie nic, co w szlachetnym poczuciu podniosłego obowiązku dla pomnożenia dobra ogólnego — czyni, i dla tego — niech każdy odnajdzie w myśli — kogoś znajomego, w oddali od kraju — pełniącego swe obowiązki, i nie szczędzi mu słowa pamięci. Czasem taka drobna myśl, przesłana tam, może kogoś ucieszyć, czasem, pocieszyć, a choćby tylko dokumentowała swoje: — jestem, to też dużo znaczy.

Autorce książki pełnej miłości dla spraw kraju i dla ludzi, którzy może za nim tęsknią, należy się wdzięczność za zebranie tych pięknych myśli i staranie wprowadzenia ich w rzeczywistość.

L. K.

## W PARYŻU ODBYŁ SIĘ KONKURS NA NAJLEPSZĄ KUCHARKĘ OD LAT 8 DO 15!

W życiu małych paryżanek stało się coś niezwykłego. Oto pismo „Benjamin” ogłosiło konkurs na najlepszą kucharkę... poniżej lat 15. Niezmierzonej wielkości Palais des Expositions nagle się ożywił. Rozbrzmiał echem kilkuset dziewczęcych głosików. Żimne ściany ożyły, ozdobione szlakiem napisów: Concours de cuisine — organisé par Benjamin. A cała sala zapęłniła się małymi kuchenkami gazowymi (w liczbie dwustu), ustawionymi w kilka rzędów.

Na konkurs zgłosiło się 400 kandydatek, od 8—15 lat, które zostały podzielone w ten sposób, że przy każdej kuchence pracowały dwie: jedna jako „chef”, druga jako „matronne”. „Tematem” konkursu było przygotowanie obiadu na 800 osób, menu brzmiało: jajka w majonezie, makaron, cielęcina w sosie marengo, groszek w śmietanie, sałatka owocowa.

W skład jury weszły osoby o nazwiskach znanych bądź to ze świata literatury dziecięcej, bądź też ze świata higieny i sztuki kulinarnej. Z jednej więc strony autorowie najpiękniejszych książek dla dzieci: Alain Saint Ogan i Jaboune (naczelnicy redaktor „Benjamin”), z drugiej Dr. Edouard de Pomiane, profesor w Institut d'Hygiene Alimentaire, i wiele innych osób o mniej lub więcej znanych nazwiskach.

Przejęcie się ważnością chwili było ogólne. Już na godzinę przed otwarciem stała spora gromadka „kucharek”, wyczekując z bijącym sercem ważnego momentu.

Wreszcie weszły do sali. Każda przy swej, numerem oznaczonej kuchence, w białym fartuszkach i ogromnym czepcu na głowie. W godzinę potem w całej pełni pracą gorączkowa, byleby zdążyć... byleby jaknajlepiej..

Nie obojętne było oczywiście bez nieszczęść, w rodzaju jeszcze bardzo miękkich a już obranych jajek, które miały być twarde i podane w majonezie. Zdarzyło się też jednej młodej „kucharce”, że przez pomyłkę wrzuciła wszystkie pięć jajek do wrzątku. Chwilę potem z rozpaczą wylawiała jedno z nich, które było przeznaczone na majonez. Jaki był potem smak tego majonezu i czy wogóle mógł jako taki istnieć — jest to trudne do rozwiązania zagadnienie.

Zdarzały się i inne nieszczęścia, bądź z cielęcina, bądź z groszkiem, czy makaronem. Ale wszystko skończyło się dobrze.

Punktualnie o godzinie 12.30 ogłoszono zakończenie konkursu i przystąpiono do oceny, która wypadła nader dodatnio. Laureatkami zostały dwie siostry: Claude i Monique Villiet, z liceum im. Moliere'a. Ażeby wynagrodzić



trudy i niewątpliwie wysiłki wszystkich konkurentek, jury przyznało każdej mniej lub więcej cenną nagrodę, zależnie od „zasługi”.

Przy długich, pięknie nakrytych stołach usiadło 800 osób: 400 „kucharek”, a reszta członkowie jury, oraz zaproszone mamusie i profesorowie. Pochwałą nie było

końca i uroczystość zakończona została w miłym i pogodnym nastroju, a młode kuchareczki wraz z nagrodami zaniósły do domów wspomnienie pożytecznie spędzonego czwartku, wolnego dnia w szkołach francuskich.

Zofja Rychlińska.

Paryż—31 stycznia 1935 roku.

## ZE „ZWIĄZKU PAŃ DOMU”

Na zebraniu miesięcznym Z. P. D. w dniu 1 lutego 1935 r. został wygłoszony przez p. Janinę Huberową, przewodniczącą Instytutu Gospodarstwa Domowego bardzo interesujący referat p. t. „Instytuty Gospodarstwa Domowego w kraju i zagranicą”. Prelegentka zobrazowała działalność Instytutu Gospodarstwa Domowego w Ameryce, Anglii i Niemczech — przeszła do działalności Instytutu Gospodarstwa Domowego u nas, który powstał w roku 1930 dzięki energii wyczucia pewnych jednostek rozumiejących, że kobieta musi zdobywać wiadomości gospodarcze, których dotychczas wykształcenie średnie nie daje, a które jest konieczne dla rozumnego i racjonalnego zarządzania pieniędzmi, przeznaczonemi na utrzymanie domu — które w ogólnym bilansie kraju dają poważne sumy. P. J. Huberowa omówiła szczegółowo cele i zadania oraz prace Instytutu.

Przewodnicząca Oddziału Warszawskiego Z. P. D. p. Lutostańska podała do wiadomości członkiń terminy kursów dla „doradczyń gospodarczych”, organizowanych przez Radę Naczelną Gospodarczego Wykształcenia Kobiet i Związek Pań Domu mających na celu przygotowanie pań do akcji niesienia pomocy najbardziej potrzebującym kobietom w stolicy.

W związku z uchwalonemi poprzednio wnioskami „O niecałowaniu w rękę” i „O niecałowaniu dzieci przez osoby obce, oraz wnioski o otoczenie ich specjalną opieką w miejscach publicznych, szczególnie tam, gdzie może im zagrażać niebezpieczeństwo”. Zebranie uchwaliło zwrócić się do Zarządu Głównego z prośbą o jaknajszersze propagowanie tychże.

Wydziały podały do wiadomości, że pokazy w lokalu Z. P. D. odbywają się jak zwykle w piątki o godz. 12-ej z dziedziny prania, zmywania, sprzątnięcia i palenia w piecach, co środę zaś o godz. 18-ej z zakresu kulinarnego.

Wydział wycieczek organizuje w dniach najbliższych kilka wycieczek; do fabr. trykotaży f-my Matuszewski, do Tow. Popierania Przemysłu Ludowego i do Sejmu Szczerbów w biurze Związku.

Wydział Kursów przyjmuje zapisy na 20-lekcjowy kurs gospodarstwa domowego dla pań i panienek, na 2-lekcjowy kurs przystawek zimnych i gorących, 2-lekcjowy

kurs przyjęć wykwintnych, 2-lekcjowy kurs przyjęć wykwintnych dla pracownic domowych i 6-lekcjowy kurs przyrządzania łatwych potraw dla dzieci w wieku od 10—12 lat.

Wydział Klubowy organizuje co czwartek wieczory towarzyskie z bridgem i tańcami. — We wtorki i piątki odbywają się lekcje gimnastyki dla dzieci w godzinach od 17—18-ej, dla pań w te same dni w godz. od 18—19-ej wieczorem.

Poradnia czynna jak zwykle w środy w godz. od 12—14-ej. Przybyło szereg firm, udzielających członkiniom Z. P. D. rabatów od zakupów.

W dniu 1 marca odbędzie się doroczne Walne zebranie sprawozdawcze z działalności Oddziału Warszawskiego oraz wybory do Zarządu i Komisji Rewizyjnej tegoż Oddziału.

Dnia 25 stycznia 1935 roku, odbyło się w Centrali P. K. O. w Warszawie 24-te z rzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe Serji I.

Po zł. 1000 otrzymają właściciele następujących książeczek:

50.500	66.020	84.461	94.919	105.550	114.080
52.092	68.168	84.878	95.106	105.914	114.133
53.462	69.374	84.946	95.439	106.375	114.263
54.726	71.793	85.914	95.534	106.615	114.609
54.938	72.396	86.084	96.199	106.757	114.893
55.680	72.465	86.492	96.214	108.366	114.973
55.766	72.657	87.319	96.743	108.383	115.112
57.273	73.420	87.510	97.072	109.182	115.426
58.110	74.471	87.625	97.123	109.501	115.532
59.125	74.604	87.919	97.392	110.183	115.892
59.554	75.729	88.236	97.418	112.176	116.138
60.453	77.157	88.598	99.995	112.786	116.593
60.599	77.430	88.660	100.115	112.851	117.110
61.122	77.804	89.427	100.572	112.874	117.165
61.977	77.869	90.113	100.612	112.891	118.082
62.279	78.307	90.544	100.674	113.251	118.506
62.450	78.356	92.180	100.979	113.290	118.583
63.663	79.127	94.088	102.546	113.293	118.773
64.629	81.822	94.582	103.811	113.704	118.876
65.152	82.102	94.665	103.907	113.768	118.990
65.650	83.749	94.787	105.334		

Wylosowane dawniej a niepodjęte książeczki premjowane Serji II: 54.229, 66.099, 79.385, 91.034.

## ZŁOTE MYŚLI

*Kto się poświęcił dla dobra ludzi,  
powinien o ich sądzie zapomnieć.*

Zygmunt Krasiński.

*Wszelkie ciało jako trawa więdnije i wszelka chwala jego  
opada jako kwiat polny.*

Izajasz XI, 6.

*Państwa są jak dywany:  
Potrzebują od czasu do czasu przetrzepania.*

Henryk Sienkiewicz.

*Usiłuj od od srogiej boleści ochronić tych,  
którzy ci zadali najsroższą boleść.*

Eliza Orzeszkowa — „Ascetka”.

*Podwaja w przeciwniku dzielność, kto się boi,  
przeraża nieprzyjaciół, kto oporem stoi.*

Kajetan Węgierski.

*Wolno zapomnieć o swoich godnościach,  
ale nigdy o swojej godności.*

Staszic.



## ROBOTY RĘCZNE W OBCYCH WYDANIACH

Świeżo ukazały się nowe wydania niemieckie i francuskie z wzorami robótek kobiecych. Widzimy tam wielki wybór haftów kolorowych na serwety, poduszki i sukienki, dalej modne na najbliższe lato torebki paciorkowe, smyrneńskie dywaniki, aplikacje ze sukna kolorowego na



Motyw fioletowy do firanki.

Fot. Marja Stefkowa.

makatki do dziecięcych pokoi. Bieliznę kobiecą i pościelową zdobią aplikacje naszywane po wierzchu oryginalnym ścięciem.

Koronki i wstawki szydełkowe, wyszycia na tiulu, szyte igłą ząbki przy chusteczkach, łatwe, a strojne. Bardzo pomysłowe są tam hafty „relief” na saszetki i poduszki na kanapę, wreszcie wyszycia na siatce. Oto bogata treść obcych wydawnictw wydanych bardzo pięknie i sta-

rannie, nadzwyczajna technika graficzna uwydatniła każdy ścieg w hafcie, każdą nitkę w tkaninie. Lecz i my nie pozostaniemy w tyle poza wydawnictwami zagranicznymi. Postarajmy się stosować do wszystkich podobnych robótek nasze rodzime wzory ludowe. Wszak u nas wśród zdobnictwa ludowego mamy prawdziwą skarbnicę wzorów do haftu, koronek, siatek, aplikacji, robótek paciorkowych i wiele, wiele, innych. Zrobimy przegląd do jakiego działu wymienionych technik możemy zastosować wzory ludowe i z jakich okolic. A więc, idąc kolejno, ujrzymy w haftach kolorowych na płótnie wzory kaszubskie, wilanowskie, śląskie, łowickie, krakowskie i lwowskie wykonane ścięgami: płaskim, ataskowym i dzierganym. Hafty te stosowane są do tkanin z płócien, batystów, jedwabiu i miękkiej wełny. — Do samodzielnych stosowniejsze są wzory z Polesia, Wołynia, Białorusi i Huculszczyzny, gdyż godzić się muszą z nicią tkaniny. Technika kryżykowa i nizana musi być robiona przy odliczaniu nitki w samodzielu. — Na makatki aplikowane z kolorowych sukien, lub płócien czerpmy wzory z wyszyc na sukmanach w Kieleckiem, z wycinanek radomskich, ze Świecia na Pomorzu, wreszcie z bogatych wycinanek łowickich. — Koronki szydełkowe mamy w Tomaszowie Mazowieckim, we Wiśle na Śląsku klockowe w Zakopanem, Bukowinie w Bobowej. — Prześliczne koronki siatkowe na Podlasiu zastępują zupełnie obce wyroby filetowe.

Podajemy na fotografii wzór roboty filetowej, czyli wyszywanej na siatce ręcznej odpowiedni na firankę lub jako serwetka na stół. — Widzimy na niej wyszycy motyw z dziewięciornika, tak bardzo lubianego w sztuce ludowej zakopiańskiej. Musimy jeszcze wspomnieć o zagranicznych torebkach paciorkowych, w których przeróżne papugi, kolibry i palmy możemy zastąpić naszymi ślicznymi wzorami z huculskich gierdanów, z drobniutkich krzyżkowych wyszyc w okolicach Rawy Mazowieckiej, czy też z Księstwa Łowickiego, gdzie do pięknych haftów krzyżkowych używają nici o barwach pastelowych.

Za pośrednictwem Rodziny Polskiej można otrzymać wzory z całej Polski, zawsze s'uzymy radą i wskazówką w doborze materiału, czy źródła zakupu. Czerpmy więc z wzorów swojskich, będących niewyczerpaną skarbnicą fantazji naszego ludu.

Marja Stefkowa

## CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

**Katolicki Związek Polek** rozszerza swą działalność z każdym rokiem. Członkinie dopełniają swe ukształcenie, słuchając kursów katechetycznych. Sekcja społeczna, korzystając z gościnnej zawsze usłudźności Pań Kanoniczek, o ile chodzi o dobrą sprawę, zbiera się na wykładach i odczytach, gdzie konferencje miesięczne ks. Adam Wyrębowski odbywa w kościele Pań Kanoniczek. Młode adeptki Związku, podzielone na odnośne sekcje, otaczają opieką **Klub sprzedawców gazet**, gdzie młodzi pracownicy, za bardzo niską cenę, mogą dostawać posiłek. Pilnie też s'odzą dolę chorych żołnierzy w Szpitalu im. Marszałka Piłsudskiego, organizując „gwiazdki“, „święcone“, dostarczając pism i książek, a jednocześnie organizując nabożeństwa dla skrzepienia ducha cierpiących. Związek zostaje pod duchowym kierownictwem ks. Adama Wyrębowskiego.

**Stowarzyszenie Młodych Ziemianek** więcej ma pono dziś do roboty, aniżeli kiedykolwiek. Toteż tworzy kursy, dopełniające ich ukształcenie jak np. „Kurs zagadnień międzynarodowych“, opracowuje komunikaty: „O życiu“, wskazując odnośną literaturę, w różnych dziedzinach, związanych z głównym zadaniem, przygotowując szerokie ko'ła kobiet do zabierania głosu w rozsyłanych ankietach. Pracuje współzrędnie ze Stow. Zjednoczonych Ziemianek, z Instytutem Akcji Katolickiej, Stow. Młodych Kobiety, z Instytutem Gospodarstwa Domowego, z Tow. do Walki

Handlu Kobietami i Dziećmi, z Tow. Opieki nad Ociemniałymi w Laskach i z „Odrodzeniem“. — Zarząd główny Stow. „Młode Ziemianki“ stanowią obecnie: przewodnicząca — Irena Gembrowicz, wiceprzewodnicząca — Magdalena Skarzyńska, II-ga wiceprzewodnicząca — Róża Zółtowska, sekretarki — Jadwiga Janowska i Jadwiga Piasecka, skarbniczka — Marja Piwnicka, kierowniczką biura — Teresa Ciszkwicz. — Kierowniczką Sekcji: organizacyjnej i społecznej — Barbara Godycka-Cwirko, oświatowej — Zofja Olszowska, zagranicznej — Elżbieta Budny, gospodarczej — Olga Bienkowska, towarzyskiej — Marja Wodziańska. Pięknej pracy należy życzyć jaknajlepszych rezultatów.

**W Warszawskim Klubie Wioślarek** — p. dr. Zabawska-Domowska, po chlubnej dziesięcioletniej działalności opuściła swe stanowisko prezeski klubu. Obecnie prezeską jest p. dr. Janina Tuwanówna, wiceprezeskami pp.: Aniela Kukrzówna i inż. Elżbieta Trembicka. Naczelniczką przystani p. Jadwiga Sufczyńska, skarbniczką p. Anna Zacharjasówna, sekretarką Marja Szypowska, gospodynin lokalu p. Marja Jakubowska. Dzielnemu zespołowi doświadczonych kierowniczek życzyć należy jaknajlepszego powodzenia w pracy tak zdrowo działającej na fizyczną stronę członkini i tak pięknie a szlachetnie na duchowe urobienie w bezpośrednim zetknięciu z naturą.



Oddział Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej rozwija się dość pomyślnie, ale nie liczy tyle członkiń, ileby ich liczyć pragnął. Zarząd pracuje sprawnie. Zespół w nim ma wyjątkowy zapas energii i sił. Członkinie zarządu niestrudzenie zabiegają o dobro całości. Sekcja propagandowa i dochodów niestałych, nie ustaje w trudach okolo dostarczania środków, które pozwalają na opłaty wpisów szkolnych za trzech uczniów Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Członkinie chętnie rozsprzedają setki mareczek na Fundusz Obrony Morza, ale to wszystko za mało! Wśród trzy-

dziesiętuparu milionów ludności, czyż nie znajdziemy bodaj pół miliona kobiet, które dadzą dowód, że rozumieją ważność sprawy. Dlatego tylko, że ma wiarę w urzeczywistnienie swych marzeń, pracować będzie Oddział Kobiet ze zdwojoną siłą dla zdobycia dla swego Oddziału tego znaczenia, jakie mu należy. — Walne zebranie Oddziału Kobiet L. M. i K. odbędzie się 29 marca r. b. o godz. 5-ej popołudniu w siedzibie Ligi Morskiej i Kolonjalnej, Warszawa, Widok 10, na które zaprasza wszystkie członkinie zarząd Oddziału Kobiet.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, choć strzeż Boże, aby potrzebować tej wiadomości, że w Pruszkowie przy ul. Szkolnej 15, w Zakładzie św. Maura i Placyda, mieści się powszechna szkoła dla chłopców umysłowo upośledzonych. Zakład i szkoły prowadzone są przez Zgromadzenie SS. Benedyktyn — Samarytanek Krzyża Chrystusowego, mieszczą się na własnych terenach. Dzieci są otoczone opieką. A cierpliwości trzeba nieladajakiej, bo są tam oddziały dla dzieci kalek, idiotów, lub bardzo upośledzonych fizycznie, niedorozwiniętych dziewczynek i chłopców. Od czegoż anielska dobroć sióstr! W ubiegłym roku pod opieką tych zacnych dusz było 120 dziewczynek i 238 chłopców. 64 dzieci znalazło miejsca bezpłatne. Zbożnej a ciężkiej pracy — niech Bóg pomaga!

Wiedzieć trzeba i pamiętać o tem stale, że na dożywianie dzieci w szkołach po-

wszechnych potrzeba do końca roku szkolnego 800.000 zł (dla 40.000 dzieci na ogólną ich liczbę okolo 120.000). Rada szkolna może pokryć tylko pewną część wydatków — resztę to niezawodna, zawsze gotowa do pomocy: ofiarność nasza!

Matki wszystkich dzieci chodzących do szkół, wiemy, że dają śniadanko dla kolegów. Adresujemy do „Charitasu“, do Stow. „Dzielmy się“, bodaj bułkę jedną i jedno jajko, jedną porcję cukru, jeden kawałek czekolady, jedno jabłko, czy jedną pomarańczę, byle zaraz, byle stale, byle codzień. W szkołach dzieci nasze nie mogą padać z głodu. Dopóki mamy sami co jeść — pamiętajmy o tej największej niedoli — niedoli dziecka bezbronnego, bezradnego — dziecka polskiego, a więc naszego dziecka!

Wiedzieć powinny wszystkie kobiety, że na Fundusz Obrony Morza i potrzeby zwią-

zane z programami Oddziału Kobiet L. M. i K. odbywają się, staraniem jednej z członkiń zarządu, p. dr. Dudrewiczowej, podwieczorki w S. J. M. przy ul. Królewskiej 11 od godz. 5—8 popołudniu, w każdą niedzielę po 1 i 15 miesiąca. Wstęp kosztuje tylko 55 groszy. O poparcie prosimy nasze łaskawe Czytelniczki!



## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**Pannie Maryli Kr. z Lublina.** — Można marzyć w kapeluszu niebieskim, ale nie można płakać w różowym — napisała kiedyś sławna pisarka francuska, pani Georges Sand. Przyszła nam na myśl ta cytata, czytając zapytanie Pani, dotyczące jej toalety na uroczystość rodzinną. Bo to zupełnie zależne od wewnętrznego Pani nastroju. Oczywiście, wobec ogólnej radości całego zebrania, raczej można wcale nie brać udziału w danem towarzystwie, aniżeli żalobnym strojem hamować wesoły nastrój. Więc, sądźmy, że, aby tego uniknąć, może Pani, bez ujmy dla swych uczuć, zrobić tę małą ofiarę dla drugich i wziąć na ten dzień sukienkę jasną. Nie będzie to żadną obrazą dla chwil minionych, a serdecznie zostanie niezawodnie przyjęte przez chwile obecne.

**P. Wandzie Sik... w Lesznie.** — Pani łaskawa nazywa się „staruszką“, licząc lat 60! Dziś nasz wiek się przesunął. Musimy być dłużej młode, bo sił naszych potrzebują warunki, w których żyjemy, potrzebują nasze dzieci, których los nie pieści, nasze domy, w których cudów trzeba i pracy i energii, aby je utrzymać należycie, więc o starości w lat 60 niema co mówić. Trwać z wiarą, że Bóg sił nie odmówi do pomocy i o starości nie myśleć. Właśnie wpadła mi w rękę wiadomość, że w Ameryce, w stanie Pensylwanja, zmarła kobieta-Polka, mająca 108 lat. Osierociła córkę, syna, 37 wnucząt, 49 prawnuków i 4 praprawnuków — to mi dopiero zuch! O niej pamiętać, zdrowie podtrzymywać umiarkowaniem jedzeniem, ruchem i tą wiarą, która jest motorem wszechistnienia.

**P. M. W. w Otwocku.** — Jeżeli Pani chce egzotycznych wiadomości, to polecamy miesięcznik „Naokoło Świata“. W ostatnim numerze właśnie czytamy o prześlicznej wyspie miłości, Thaiti, która niestety wyludnia się. Widocznie nawet miłości nadmiar jest szkodliwy. A jeśli chce Pani połączyć przyjemne z pożytecznym, to radzę prenumeratę „Morza“, bo tam i krainy zamorskie opiewane i nasze prace na morzu ślicznie opisane. Praktyczne zaś wiadomości da Sz. Pani „Wychodźca“, organ Związku Pisarzy i Publicystów Emigracyjnych, dwutygodnik bardzo starannie redagowany.

**P. X. X.** — Z całą przyjemnością odpiszę, proszę o nazwisko na karcie pocztowej. Nawet zależy mi na tem, żeby Pani mój list otrzymała. Więc czekam.

**P. Mir. Wal. w Łodzi.** — Niestety złodziejstwo i bandytyzm szerzy się na całym świecie. Wszędzie rządy już dziś biorą dyrektywę nad tępieniem tych zbrodni. Szlachetny prezydent Roosevelt, w przemowie swej podczas otwarcia wielkiego posiedzenia, mówił, że straty spowodowane bandytyzmem, wynoszą w kraju 12 miliardów dolarów. Bezrobocie i głód, to straszni doradcy. Praca jedynie może być radykalnym środkiem zmniejszenia przestępczości. Nie traćmy wiary, że ona znaleźć się musi. Sami zaś oszczędność posuwamy do ostatecznych granic, wykluczając życie nad stan i... kupno — na raty, które często gubi nasze budżety.

*Kobiety Polskie winny gremjalnie zapisywać się na członkinie „Oddziału Kobiet Ligi Morskiej i Kolonjalnej“. Musimy stanowić liczbę, aby zorganizować siłę, w pomocniczej pracy, przy tworzeniu wielkiego dzieła, jakim jest nasz brzeg Bałtyku z portem w Gdyni.*

*Wpisowe: jednorazowo złoty, składki: jeden złoty miesięcznie, lub 50 groszy miesięcznie, a nawet, jako opłata członka zbiorowego, 10 groszy miesięcznie.*

*Wszelkie informacje w w biurze L. M. K. Widok 10, od godz. 10 — 3-ej. Czekamy! Nie może nas zabraknąć!*



## CHRYZANTEMOWE DUSZKI.

— Kasiu! Pobaw się ze mną! — prosiła Halinka. — Nie mam czasu — odpowiedziała Kasia. Tyle jeszcze sprzątanina. Niech się Halinka lepiej pobawi swemi laleczkami. — Eh! znudziły mi się już te lalczki — odpowiedziała grymasnie Halinka. — Ta, bez włosów, drugiej głowa się kiwa, pajacowi brak nogi, a wszystkie wymięte, brzydkie... — A któż je tak urządził? — spytała Kasia. Jakże wszystkie były ładne, jak je Halinka dostała, a teraz... ojoj, żeby to mamusia Halinki tak o nią dbała jak Halinka o te swoje „córeczki“, ładnieby wyglądała... — No, nie gderz, Kasiu — prosiła Halinka — już ja się nimi zajmę. Ale teraz mi się nie chce. A możebym ci co pomóc mogła, ja tak lubię sprzątać. — Aha! Lubi Halinka sprzątać, bo nie musi tego robić — mruknęła Kasia pod nosem — ale żeby to tak na stałe, tobyśmy dopiero zobaczyli... No, ale zresztą dobrze. Jak Halinka chce pomagać, to proszę posprzątać te płatki chryzantem co opadły, a ja pójdę tymczasem kwiatom wodę zmienić. Uszczęśliwiona dziewczynka podskoczyła do góry, klaszcząc w ręczki z radości i chwyciwszy małą lakową tackę i zmioteczkę, zaczęła zgarniać starannie rozsypane wokół palki. Tu sprzątnięte i tu i tu, jeszcze trzy w rogu za wazonem zostały. Ale co to, czy się jej w oczach mieni, czy co, przecież to wcale nie płatki chryzantemowe leżą na stole, to stoją przed nią małe śmieszne ludziki, zupełnie podobne do tych z mamusi póleczki. Buzie mają żółte, skośne czarne oczka, wysoko upięte, dziwaczne fryzury, a w nich kolorowych szpilek moc, a sukienki szerokie, złotem bogato haftowane, z długimi rękawami, przepasane sztywnymi kolorowymi pasami. Co to! Kto wy jesteście! — wykrzyknęła zdumiona Halinka, puszczając z rąk tackę i zmioteczkę. A dziwne ludziki ukłoniły się w pas i przemówiły cieniutkimi głoskami: — My chryzantemowe duszki, piękny pokłon ci dajemy, mocą jednej dobrej wróżki, pokazać ci się możemy. — Ach! Jak to dobrze — klasnęła w ręczki Halinka — ale czego ode mnie chcecie duszki śliczne? — Chcemy wziąć cię w kraj daleki, skąd pochodzą chryzantemy. Gdzie błękitem płyną rzeki, a świat się barwami mieni. Zobaczysz tam jak kochają swojej lalki — Japoneczki, jak serdecznie o nie dbają, jakie dobre z nich mateczki — odpowiedziały duszki, a potem podreptały na róg stołu, gdzie stał duży aluminiowy aeroplan — brata Halinki, Stefa, a który nieraz służył do przejażdżek jej lalkom. Duszki wsiadły w ten aeroplan i uprzejmie zapraszały Halinkę, by wsiadła wraz z nimi. Roześmiała się dziewczynka, przecież cały samolot mogła unieść w jednej ręce. Ale w ten stało się coś dziwnego, Halinkę, nachyloną nad stołem, by się lepiej przyjrzeć niezwykle gościom, dotknął jeden z duszków małą chryzantemą i dziewczynka zrobiła się naraz mała, mała, tak jak duszki chryzantemowe. Zdjął ją okropny strach, by nie weszła Kasia, przecież mogła ją zdeptać przez nieuwagę, w tej chwili usłyszała nad głową warkot śmigła i aluminiowy samolot sfrunął z rogu stołu i zatrzymał się parę kroków od niej, skwapliwie pośpieszyła dziewczynka do samolotu i bez wielkiego trudu weń wsiadła. Zawarczała śmigła i samolotik, wzniosłszy się do góry, obleciał kilkakrotnie pokój i wyfrunął lufcikiem. Płynęli wysoko, wysoko, nad szumiącymi morzami, nad rozległymi górami, nad żółtymi piaskami pustyni, i znów nad górami i nad dziewiczymi lasami, i znów nad morzem, aż wreszcie zaczęli zniżać się ku ziemi. Szum morza stał się głośniejszy, słodkie wonie rozkwitłego kwiecica odorzały Halinkę. Zlecieli jeszcze niżej, wśród kwiatów i zieleni stały małe domeczki jak zabawki papierowe i większe domy, otoczone śmiesznie małymi ogródkami. A ponad tem wszystkim, nad błękitem morza, różnobarwnością kwiecica, w złocistych blaskach słońca wznosiła się wysoka góra, której szczyt pokryty wiecznym śniegiem, krył się w mgłach siwych. Poznała Halinka widok znany z ilustracji — była w Japonji.

Na grzeczne zaproszenie duszków wysiadła Halinka z samolotu i udała się z nimi do miasta. Dziwny widok uderzył jej oczy. Na ganku każdego domu, od najędźniejszej lepianki do pałacu wspaniałego stały lalki. Ale jakie lalki! Strojone w kosztowne szaty, ustawione starannie, poprzebierane w przeróżne stroje. Tu stała gromadka lalek-dzieci, przyglądająca się figlom pajacalalki, tu znów kroczył orszak królewski, tu kapłani odprawiali swe modły, gdzieindziej znów przekupień owoców, rybak, wieśniak, szlachcic w zbroi starodawnej... Nie mogła dziewczynka oczu oderwać od tych cudów. Ulicami płynął tłum uśmiechnięty, przeważały dziewczynki odświętnie ustrojone, a każda przyciskała ukochaną lalkę do serca. — Duszki kochane — odważyła się

wkońcu zapytać Halinka — skąd te Japoneczki tyle mają lalek i czy one ich nigdy nie rozbijają? Uśmiechnęły się duszki i zaczęły jej tłumaczyć wszystko od początku. Więc dowiedziała się Halinka, że Japoneczki od bardzo wczesnego dzieciństwa zaczynają pracować, pomagają matkom w gospodarstwie domowym, nianczą młodsze rodzeństwo, uczą się pilnie w szkołach, mało też czasu mają na zabawę lalkami, ale ponieważ kochają bardzo swe lalczki, więc też szanują je, chowają starannie po zabawie, a gdy dorosną, chowają znów te lalki dla swych córeczek, a te znowu swoim je przekazują dzieciom... Raz do roku, w marcu, cała Japonja obchodzi święto lalek. Dnia tego małe dziewczynki zwolnione są od swych obowiązków i mogą się bawić ile chcą lalkami. Używają też tego całą duszą. A ze skrytek i schowków wydostaje się wtedy ze czcią przechowane lalki czasem jeszcze po prababkach i ustawia się je przed domem; im więcej tych lalek i ładniejsze i lepiej przechowane, tem większa chwała dla domu... Skończył mówić duszek, a tej chwili nadsięgnęła gromadka rozśpiewanych Japoneczek, każda z lalką w ręczce, otoczyły Halinkę i tańczyć wokół niej zaczęły. Tańczyły coraz prędzej, prędzej, aż się Halince w oczach mieniło i zlewać wszystkie barwy zaczęły, przetarła więc oczy i ku swemu zdumieniu spostrzegła, że stoi wsparta o stół, z którego sprzątała płatki chryzantemowe, obok niej leży tacka, a zza drzwi rozlega się głos Kasi: — No cóż, posprzątała Halinka? — Już, Kasiu — zawołała dziewczynka i podbiegłszy oddała jej zmiecione płatki. Ale teraz, Kasiu — do dała z powagą — pomagać ci nie mogę, bo muszę się zająć memi laleczkami, ogromnie je zaniedbałam.

H. Rostafińska-Choynowska.



### BOGNA

*Chciała Bognę karmić mama,  
Ale Bogna: „ja chce siuma”...  
Łyżką dzielnie garnęk bodzie,  
Kaszka kapie jej po brodzie.*

H. R. Ch.





# ROZRYWKI I UMYŚLOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

## PIERWSZY KONKURS KWARTALNY. (Zakończenie).

Rozwiązania zadań nadsyłać należy w terminie trzytygodniowym, licząc od daty otrzymania numeru. O ile kto z Czy-

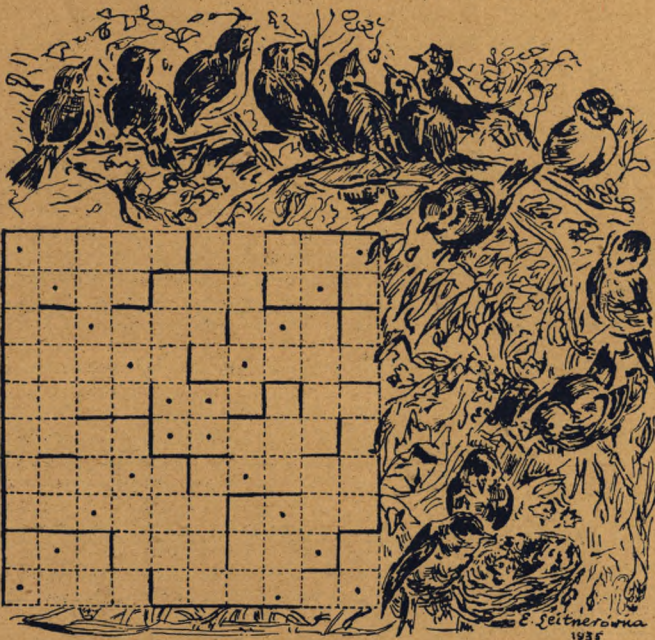
telników z jakichkolwiek przeszkód nie mógł nadesłać rozwiązań z numerów styczniowego i lutowego, może to jeszcze uczynić obecnie, nadsyłając rozwiązania z całego konkursu bieżącego, w terminie wyżej podanym.

## 9. REBUS AKTUALNY (5 pkt.).



Treścią rebusu jest zdanie złożone z 5 wyrazów o następujących literach początkowych: S, k, p, d, i.

## 10. KRZYŻÓWKA MARCOWA (5 pkt.).



Proszę wpisać w kratki (literami) wyrazy o podanych niżej znaczeniach wężowo, t. zn. pierwszy rząd od lewej ku prawej, drugi od prawej ku lewej i t. d. Koniec wyrazu oznacza grubsza kreska. Litery w kratkach przekątni, oznaczonych punktami, dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych.

Wyrazy poziome: Owad stawonogi — popędy — dwie samogłoski — oddalenie (wsp.) — on i ona — polecenie — łagodni (wsp.) — tragarze chińscy — zwierzę ssące wodne — „drogi” po ang. — cnotliwa — symbol tlenu — zdrobn. imię żeńskie — spokojny — niegdyś (wsp.) — kobyła — tężnica — barak — zwrot (wyrażenie czcze) — sędzia w Hadesie — dopływ

Renu (wsp.) — nabrzmienie — psotnik — bożek wojny.

Wyrazy pionowe: Niedorzeczność — prorok izraelski — spółgłoska fonet. — cesarz rzymski — bóg egipski — podróż — ciało lotne — towarzysze — głos zwierząt — kwiat nierozwinięty — ten co daje w l. mn. — potrawa mięsna — skała podwodna — dwie spółgłoski — imię żeńskie zdrobn. — dokument ubezpieczenia — pyłajnik — nadzorca w Turcji — naród — rzeka po hiszp. — kochanka Zeusa — miara powierzchni — b. cesarz Korei — belka — as — dawna broń — bożek fenicki — przyimek (wsp.) — zaimek (wsp.).

E. Leitnerówna (czł. Kl. Sz.).

## 11. SZARADA (3 pkt.).

Nie zawsze ten ma rację,  
kto drugie i trzecie,  
choćby czwarty-wspakpierwszy-  
czwarty sam był przecie...  
Nieraz ktoś kogoś skrzywdzi  
i obrzuci biotem —  
Izy pierwsze wspak i trzecie  
po niewczasie potem...  
Czasem chłop gdy ma talent  
i z nauk korzysta —  
może — choć tylko cały —  
wielki być artysta!

Inż. J. Modrzejewski (czł. Kl. Sz.).

## 12. HOMONIMY.

(po 1 punkcie — razem 4).

Kreski w podanych niżej zdaniach należy zastąpić sylabami, tworzącymi wyraz o tem samym brzmieniu, lecz odmiennym znaczeniu:

- 1) Marylka zbiera — — — w ogrodzie, a Janek, łowiąc ryby, dwa już — — —.
- 2) Wśród — — — najnowszych powieści, nie czyta się już prawie zawsze pięknego „— — —”.
- 3) Często się zdarza, że — — — ponosi karę, ale człowiek zupełnie — — —.
- 4) Złodziej zakradł się na — — — i otworzył — — — wytrychem.

„Jawnuta”.

## 13. REBUS AKTUALNY (5 pkt.).



Rebusu osnowa — to tylko trzy słowa. „Eszet” (czł. Kl. Sz.).

## 14. MAGICZNY ADRES (4 pkt.).

W. Pan  
TAD. MIODEK  
Wianki, p. Koło,  
Dom E. Pestki.

Litery powyższego adresu tak poprzestawiać, aby dały znane przysłowie, złożone z 10 słów.

M. Budko (czł. Kl. Sz.).  
M. Śl.

SZARADZISCI!  
Popularyzujcie  
„RODZINĘ POLSKĄ”!

## KTO JEST AMATOREM

„Rozrywek umysłowych”, a za mało ma ich w „Rodzinie Polskiej”, winien zażądać pocztówką bezpłatnego numeru okazowego „ROZRYWKI”, której numer 27 (marcowy) już wyszedł z druku. Adres: Klub Szaradzystów — Warszawa, Żórawia 45 m. 10.

Czytajcie i rozpowszechniajcie pisma katolickie

<http://rcin.org.pl>



# ZE SWIATA RADJA

CHOPIN.

Był tutaj sam. Zupełnie sam.

Wypłuło go miasto rozmachem bezlitosnych płuc, wyrzuciło, jako resztkę, odpadkę — wywożony nocą w cuchnących wozach daleko za rogatki.

A potem chwycił go wiatr i poniosł jeszcze dalej, aż gdzieś na usypiska tej lekkiej przasnej ziemi mazowieckiej, aż tu, w te rozpadliny małej wsi polskiej — że zatrzymał się na nich znużony i rozmiękły — sterany i nad miarę uciszony.

Zatrzymał się i błądził tu bez ładu i składu, bez przyczyny — roztrwaniał ostatek myśli po ugorach i nieużytkach.

Ścierniska stały już puste, pokryte rudawo-sinym zarostem i niedostrzegalna, przezroczysta niemal mgła zbliżającej się jesieni wikłała się ponad tem ryżowiskiem, ponad chruścieńcami i okapami dachów, ponad wierzbami rozłupaniem wiatrem i ponad krzyżami rozdrożnemi.

Na tej to małej, znikomo żadnej przestrzeni zamknęło się jego życie przybłądy, zawisło bezprzyczynowo wśród tych wycieplanych ostatkiem słońca zakresach.

Jeszcze tylko malwy mówiły coś pastelowo o minionych upałach i zatrzymywały gestem miłości macierzyńskiej długie, poczęte z nieskończoności nitki Babiego Lata — lecz wkoło była już tęsknica i zagadka zbliżającego się snu.

Patrzył na to wszystko oczami smutnego dziecka, co nie zna jeszcze tajemnic narodzin i śmierci i patrzy na tę dojrzałość czerwono-złotą, jak patrzyłoby na brodę starca, który zawsze tym starcem zostawał i nigdy innym nie był. Patrzył na tę jesień najprościej i najciszej.

W taki to czas dogoniła go melodia.

Znikąd zdawałoby się. Zdaleka.

Przyszła jako naturalne dopełnienie tego półsłońca, półcienia, przychodziła bez przyczyny i bez przyczyny odchodziła.

Wiła się wokół dworu białego w ziemię, rozplaszczoną, splywała po liściach i krętych łodygach dzikiego wina, czerwonego już, przesyconego sokami.

Okna były otwarte. Siadł opodal i słuchał.

A była już noc

Popod świeczkami gwiazd małych i migotliwych przesuwają się bezszelestnie białe, obrzędowe kapy obłoczków, drzewa stały atramentowo-czarne, nawilgłe tumanem wieczornym — zasłuchane.

Nokturn Chopina.

Znał go z tamtych czasów dalekich i tęskniących...

Gdy jednak rozplynął się już w tym mroku i zasłuchaniu, starał się na chwilę otrząsnąć z siebie wszystkie jego czar i zejść w olbrzymie, straszliwe szeregi uporządkowanych faktów, z których każdy logiczną i przyziemną posiada przyczynę.

Szukał przyczyn tej melodii jedynej, owijającej go najsmutniejszym uściskiem.

Słuchał.

...mazurek.

Potrafił go nawet nazwać: to mazurek a-moll z op. 17-ego.

Skąd wzięła się u niego taka pamięć?

Lecz kto gra, gdzie mieszczą się te zaczarowane dźwięki?

I dopiero teraz, nagle przypomniał sobie wszystko.

...środa wieczór... recital Chopinowski...

Warszawa... radio...

Wiedział o tem i dawniej, lecz nie słuchał nigdy. Zbyt był daleki od tych tam spraw.

Dopiero dzisiaj...

Dopiero dzisiaj uprzytomnił sobie, że co tydzień w tym dniu oznaczonym, kiedy zmlkną już wszystkie hałasy, kiedy uciszysz się serce ziemi i utworzy na wszelką harmonję płynącą — wtedy rozpoczyna się owe tajemnicze misterjum, ów obrzęd przez Niego samego ustanowiony, to On sam gra przez palce innych, to On sam rozbrzmiewa nad całą tą ziemią mazowiecką ukochaną — po wszystkich jej krańcach.

Chopin...

## DZWON ZYGMUNTA.

„Gród Wawelski, stary, zgrzybiały, królewski, majestatyczny, siadł na skałach, na miecza rękojeści wsparł dlonie, pochylił czoła, дума. Wisła tuli się doń, chroni trochę gestem przychylnym, szczupłych lubych rączek, giętką postacią ciała dziewczęcego, fantazyjnie kontrastuje ze starcem w stalową zbroję zakutym”.

Gród Wawelski...

Gród pamiętający czasy króla-bohatera Kraka i królowy-ruskiej Wandy.

Gród, który stał się świątynią pamiątek polskich, wśród których jedna jest zawsze żywa, której serce dźwięczy i śpiewa...

To On!

To Królewski Dzwon...

Zygmunt!

Serce Dzwonu, zawsze żywe i zawsze młode. Pamięta różne wspaniałe i smutne dzieje. On, ten królewski Dzwon dobywał z siebie przez wieki różne tony... Przechodziły lata... dziesiątki lat... Polska ginęła... serce Dzwonu było coraz słabiej... coraz smutniej... a gdy kazano uderzyć jego sercu, to potrafił wydobyc z siebie jeno płaczący dźwięk...

Więc zamknął się w sobie królewski Dzwon...

Wслуchiwał się w szum wiślanych wód — A Wisła, która tak przedziwnie szeptać umie, ukochała gród Wawelski, przyjaźnią darzyła Królewski Dzwon...

Nieraz mówiła:

— Czy pamiętasz? Wielkie tłumy, pod wspaniałym baldachimem król, wokoło królewski dwór, synacek, kilka cór? Czy pamiętasz?

O, pamięta On te chwile...

Gdy wielki chór kleru zawodził hymny... „Patrzeli wszyscy w górę, a On wschodził, zawisnął u szczytów i z wyżyn się rozdzwonił, głos leciał, polatał, kołysał się górną, wysoko pochmurnie, a tłum się wielki pokłonił”...

On, Królewski Dzwon — dzwonił...

Marzy, Królewski Dzwon, żeby kiedyś tak dumnie jak wtedy uderzyć silnymi mocnymi, radosnymi tonami...

Marzy, żeby nadeszła jeszcze taka chwila, kiedy wielki tłum pochyla czoła, na głos jego królewskiego tonu...

I nadszedł dzień...

Stoki góry wawelskiej pokryły się już granatowo-liljowym kobiercem fiołków. Jaskółki w baszcie Królewskiego Dzwonu zaczęły naprawiać swe gniazda.

On, „Zygmuntowy Dzwon” czuje dziwny niepokój... jakby w przecuciu wielkiej chwili, jakby w przecuciu spełnienia cudownych snów...

Była Wielkanoc.

Uroczystości rezurekcyjne z Katedry Krakowskiej po raz pierwszy popłynęły poprzez cały kraj na falach eteru.

Wspaniałe, wzruszające Nabożeństwo Rezurekcyjne płynęło podniebną falą eteru i splywało z cieniutkich nitek anten do wszystkich polskich domów od Krakowa na wschód i zachód, na północ i południe, od Karpat aż do morza, a tłem tych uroczystości był wspaniały, spiżowy, cudowny, melodyjny dźwięk Dzwonu Zygmunta...

Tysiące, setki tysięcy serc biło w tej chwili w rytm serca „Królewskiego Dzwonu”...

Tysiące głów pochylało się... Usłyszała go po latach cała Polska.

„On, Pan, Królewski Dzwon, kołysał się górną, wysoko, pochmurnie”...

## DLACZEGO APARAT RADJOWY NIE DZIAŁA?

Pytanie to jest źródłem kłopotów dla każdego radjosluchacza. Podajemy tutaj kilka sposobów naprawy odbiornika detektorowego w zakresie możliwości każdego słuchacza. A więc — aparat nie działa gdyż:

— *Antena uziemiona*, podnieść rączkę przełącznika antenowego ku górze.

— *Igła nie dotyka do kryształku*, dosunąć igłę do kryształku i wyszukać czuły punkt.

— *Wtyczka antenowa lub uziemienie odłączone od odbiornika*, włączyć je do odpowiednich gniazd.

— *Jedna z wtyczek słuchawkowych odłączona od odbiornika*, włączyć ją do odpowiedniego gniazda.

— *Złe nastawiony przełącznik falowy*, przekręcić galkę przełącznika na odbierany zakres fal.

— *Nadłamanie sznurów lub obłuzowanie się śrubek we wtyczkach słuchawkowych*, sprawdzić słuchawki na innym odbiorniku, który działa dobrze (naprzykład u sąsiada), a po stwierdzeniu uszkodzenia oddać je do naprawy.

— *Nadłamanie w przewodach*: antenowym, uziemającym lub kontaktu z wtyczkami bądź ze śrubkami przełącznika antenowego, sprawdzić przewody i wtyczki.

— *Uszkodzenie odbiornika*, sprawdzić najpierw na innej antenie, a jeżeli nie będzie działał, oddać go do naprawy.

Tyle w wypadku zupełnego milczenia odbiornika. Gdy aparat wprawdzie działa, ale audycje słychać za cicho, to zapewne:

— *Igła dotyka kryształku w nieczułym punkcie*, wyszukać punkt czulszy.

— *Skala strojeniowa przekręcona na niewłaściwe położenie*, nieodpowiadające odbiorowi stacji, dostroić odbiornik do odbieranej fali.

— *Stary kryształ (znieczulony)* wymienić na nowy lub wyjąć z detektora i odłupać jego kawałek w celu odsłonięcia czulej powierzchni.

— *Zadługa lub zakrótka antena*, skrócić antenę lub założyć dłuższą.

Audycje wprawdzie słychać dobrze, ale w słuchawkach poza słowami prelegenta i tonami muzyki słychać nieprzyjemne trzaski. Trzaski pochodzą z tego, że:

— *Antena lub doprowadzenie dotyka dachu*, sprawdzić i naciągnąć antenę lub doprowadzenie.

**S Z O F E R** zdolny, energiczny, zdrowy, kawaler może objąć posadę od zaraz. Najchętniej na wsi.

Zgłoszenia do redakcji — pod „Szofer”.